

**Michalina Oberc**  
V rok filologii polskiej

**TWÓRCZOŚĆ WŁADYSŁAWA ZAMBRZYCKIEGO**  
Praca magisterska napisana pod kierunkiem prof. dr. Kazimierza Wyki  
na Uniwersytecie Jagiellońskim

Kraków 1965

© Copyright by Michalina Bojarska-Oberc,  
Tarnów 2010

#### NOTA AUTORSKA

Oddając witrynie [www.zambrzycki.eu](http://www.zambrzycki.eu) ten tekst do publikacji, zdecydowałam nie ingerować w niego zbyt wiele. Czytając go po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat, uwspółcześniłam jedynie pisownię i wprowadziłam kilka niezbędnych poprawek. Niech moja praca pozostanie możliwie wierną pamiątką swojego czasu.

## ROZDZIAŁ I

### Życiorys i praca dziennikarska Władysława Zambrzyckiego

Władysław Zambrzycki urodził się w Radomiu 14 listopada 1891 roku. Pochodził ze środowiska inteligencji.

Naukę w średniej szkole handlowej rozpoczął również w Radomiu. Był chłopcem bardzo żywym, nie przepuścił żadnej okazji szkolenia zaborcy. Kiedy w roku 1905 w mieście była masa Kozaków, czternastoletni chłopcy, a wśród nich i Zambrzycki, w celu zrobienia popłochu wysadzili w powietrze wygódkę. Wcześniej brał już Zambrzycki udział w strajku szkolnym. Ojciec, w obawie przed wykryciem sprawców i karą za ten postępek, wysłał syna do Belgii, by kontynuował on naukę w szkole średniej pod Brukselą.

Mieszkał w internacie. Na wakacje wynajmował mieszkanie w Mons i tam spędzał ferie. Nie mógł przyjeżdżać do rodziny, ponieważ były trudności z otrzymaniem paszportu, a jeżeli już udało mu się przyjechać do kraju, to na paszport pożyczony od kolegi. Trafił raz na paszport przyjaciela rudego, więc przefarbował włosy. Miały one tak przedziwny kolor (zielono-rudy), że rodzina nie mogła chłopca poznać.

Maturę uzyskał w roku 1909, nauka nie sprawiała mu żadnych kłopotów. Po złożeniu egzaminu dojrzałości rozpoczął studia w Ecole Superieure des Textilles w Vervies i uzyskał absolutorium z wynikiem bardzo dobrym.

Będąc jeszcze studentem, w roku 1910 wraz z grupą dwudziestu przyjaciół rozpoczęła redagować czasopismo „Estudiantina”.

Studia ukończył latem roku 1913. Następnie wrócił do kraju i rozpoczął pracę w fabryce barwników „Boruta” w Pabianicach pod Łodzią. Niedługo jednak tam pracował, bo kiedy wybuchła wojna, wyjechał z rodziną do Rosji, a że z wykształcenia był chemikiem, więc został powołany do pracy w fabryce materiałów wybuchowych w Samarze. Przez pewien czas pracował też we Lwowie, w fabryce „Tlen”. W końcu wrócił do Warszawy. Tu w dalszym ciągu wykonywał doświadczenia w laboratorium chemicznym w Pałacu Mostowskich.

Miał wtedy dwadzieścia sześć lat. W laboratorium, podczas pracy, wybuchło mu w rękę szklane naczynie. Odpryskujące szkło zraniło potwornie twarz (dwadzieścia dwie rany), a zwłaszcza oczy. Cierpiał nieludzkie męki. Doktor Gepner za wszelką cenę usiłował uratować Zambrzyckiemu wzrok. Kłuto jego oczy igłami, poszukując odłamków szkła. Udało się uratować jedno oko. Po wyjściu ze szpitala, a spędził tam wiele tygodni, był zupełnie siwy. Po tym okropnym wypadku zerwał z chemią.

Rozpoczął pracę dziennikarską w „Expressie Porannym” i „Naokoło Świata”. Mieszkał w Warszawie przy ulicy Filtrowej.

W roku 1929 był we Włoszech w Stabii, dużo czasu poświęcał zwiedzaniu odkopywanej Pompei. Rezultatem tej podróży była wydana w 1931 roku jego pierwsza powieść pod tytułem *Nasza Pani Radosna, czyli dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau*. Wcześniej, bo w 1929 roku, został wydany zbiór humoresek *Większa z kropelkami*, uprzednio zamieszczanych w „Expressie” w urywkach.

Wybuch II wojny światowej zastał Zambrzyckiego w Warszawie. Pisarz musiał ukrywać się przed Niemcami. Podczas jednej rewizji uratowała go siwizna. Niemcy, myśląc, że to staruszek, wyszli, poszukiwali przecież jeszcze nie tak starego człowieka. Wrócili po godzinie, pisarz skorzystał z pomyłki i opuścił mieszkanie, katowali więc w straszny sposób gospozię, pytając o miejsce, w którym mógł schronić się poszukiwany. Nie był to jednak koniec prześladowań i autor *Naszej Pani Radosnej* musiał przenieść się pod Warszawę, do Sokołowa. Ukrywał się u księdza na plebanii, a potem pracował w Górze Kalwarii jako sprzedawca w sklepie. Wrócił do Warszawy w chwili wybuchu powstania. Na ten ciężki okres miał wyrobiony dokument na nazwisko Władysława Borkowskiego, zmieniona była również data urodzenia na 27 kwietnia 1884 roku.

Po wojnie pisarz nadal mieszkał w Warszawie, przy ulicy Poselskiej. Warunki lokalowe, w których pisał po wojnie, były okropne:

Pokoik przy ul. Poselskiej zapchany meblami oraz przedzielony szafą i biblioteczką na dwa „kojce”. W jednym bytuje i pisze niemłody już i chory Władysław Zambrzycki, w drugim – jego siostra, troskliwa opiekunka pisarza. Zambrzycki prawie nie wychodzi z domu, gdyż choroba serca i rozedma płuc utrudniają mu zejście z I piętra<sup>1</sup>.

Stan zdrowia pisarza był już tak ciężki, że w ogóle nie opuszczał mieszkania. Zambrzycki, zawsze skromny, nie chciał prosić o inne, zrobił to tylko pod wpływem przyjaciół. W takich warunkach powstawały następne utwory, a to: *Mgła nad Skaldą* w roku 1947 i *Pamiętnik Filipka* w roku 1956. Od roku 1945 współpracuje autor *Pamiętnika Filipka* z redakcją „Expressu Wieczornego”. W roku 1959 opublikowana została *Kwaterna Bożych Pomyleńców*. W tymże roku zaczął autor pisać niewydaną do dzisiaj powieść *W oficynie Elerta*. Pisarz mówi o niej:

Ukończyłem właśnie książkę o 1650 roku. Rzec toczy się w Warszawie. Akcja skupia się wokół znanej podówczas oficyny księgarskiej Ellerta, mieszczącej się przy ul. Świętokrzyskiej. Ellert był drukarzem, kapelmistrzem i osobistym przyjacielem Jana Kazimierza. Książka oddaje obraz Warszawy tamtej epoki. Na arenie pojawia się cała galeria popularnych postaci, poeci – Wespazjan Kochowski, Andrzej Morsztyn, Adam Jarzębski, kanclerz koronny Jerzy Ossoliński, popularny Adamandy Kochański, który robił zegarki. Występuje tam również pewien kochliwy i pełen powabu podlotek – późniejsza Marysienka Sobieska<sup>2</sup>.

Zambrzycki pisał również dramaty. W roku 1947 napisał sztukę *Awantura – żart literacki w trzech odstępach*, przerobił ją w roku 1952 i zatytułował *Bajka o Firycyku* (inna, dobra podobno sztuka *Sen pod zegarem, zaginęła*):

Jest to lekka trzyaktowa komedyjka, traktująca o współcześnie oglądanym *Firycyku w zalach* Zabłockiego. Zjawia się on między nami, jako żywy kontrast dwu epok i we współczesnych, potocznych sytuacjach mówi wierszem trzynastozgłoskowym. Jego otoczenie próbuje go naśladować, co wywołuje raz po raz zabawne spięcia. Sam zresztą doskonale bawiłem się przy pisaniu tej historyjki<sup>3</sup>.

W 1959 roku po wielu staraniach otrzymał Władysław Zambrzycki nowe mieszkanie i rozpoczął pracę nad powieścią *Kaskada Franchimont*. Zdrowie pisarza było już coraz słabsze. Pod koniec 1961 roku przestał zupełnie pracować. W roku 1962 była przygotowana do druku jego ostatnia książka – właśnie *Kaskada Franchimont*.

---

<sup>1</sup> K. Moczarski, *Laur i... „Kojec” mieszkaniowy*, „Kurier Polski” 1959, nr 54, s. 6.

<sup>2</sup> B. Sowińska, *Książeczka i sztuka teatralna Wł. Zambrzyckiego*, „Kurier Polski” 1959, nr 294, s. 4.

<sup>3</sup> B. Sowińska, *op. cit.*

Wydawcy, dowiedziawszy się, że autor jest bardzo ciężko chory, robili co w ich mocy, aby mógł jeszcze zobaczyć jako wydaną swoją nowo napisaną książkę. Pomagali w tym wszyscy pracownicy wydawnictwa, tak bardzo bowiem cenili i kochali tego człowieka. Otrzymał pisarz gotowy tom tuż przed śmiercią.

Zmarł 28 kwietnia 1962 roku w Warszawie, w wieku siedemdziesięciu jeden lat.

Kilka dni przed śmiercią podyktował swojej siostrze, Wandzie Czapskiej, treść nekrologu. Siostra, wspominając brata Władysława, zastanawiała się, czy miał ten człowiek w swoim otoczeniu jakiegoś wroga, kogoś nieprzychylnego. Zawsze starał się robić przysługi ludziom, wspomagał biednych i emerytów, a robił to bardzo dyskretnie. Jego życie przypadło na bardzo ciężki okres naszej historii, pamiętał pisarz rządy zaborców, przeżył dwie okropne wojny, w jednej biorąc czynny udział, w drugiej zaś ze względu na stan swego zdrowia – nie. A jednak nie opuścił go optymizm nawet w tak okropnych chwilach. Jego twórczość pomaga wielu czytelnikom dojrzeć w życiu wiele uroku nawet w chwilach najcięższych.

\*\*\*

Zapytany w jednym z wywiadów prasowych autor *Pamiętnika Filipka* o to, co stawia na pierwszym miejscu, literaturę czy dziennikarstwo, odpowiedział, iż uważa, że te dwie dziedziny można ze sobą doskonale pożenić, stwierdził jednak, że „dziennikarstwo ma we krwi, a kiedy przyjdzie mu fantazja, pisze książki”<sup>4</sup>. My również, śledząc pracę dziennikarską Zambrzyckiego, musimy stwierdzić, że jest to robota dziennikarza z prawdziwego zdarzenia.

Wspomniałam w życiorysie Zambrzyckiego, że debiutował on jako dziennikarz w wydawanym w Belgii czasopiśmie studenckim „Estudiantina”. Wydawała ten tygodnik dwudziestoosobowa grupa studentów i oni najbardziej bawili się jego redagowaniem. Ukazywał się drukiem w języku francuskim. Wydawnictwo finansowali młodzi, składając się po dwadzieścia franków (bardzo dużo jak na studencką kieszeń). Zamieszczali przeróżne, wyimaginowane życiorysy poważnych mieszczuchów, pełno w nich było zmyśleń i przeinaczeń. Niestety zbyt długo nie mogli młodzi studenci zabawiać się niewinnymi figlami, zaskarżył ich pewien piekarz, który poczuł się obrażony, kiedy przeczytał wierszyk opiewający jego miłostki. Młodzi zostali skazani na cztery tysiące franków grzywny i musieli uciekać<sup>5</sup>.

Trudno ustalić datę, kiedy rozpoczął Zambrzycki pracę dziennikarską w „Expressie Porannym”. W jednym z numerów w 1923 roku drukowana była nowelka *Astral Olafa Brix*a. Redakcja tej gazety wraz z redakcją „Kuriera Wieczornego” we wczesnych latach niepodległości Polski mieściła się w jednym pokoju przy ulicy Nowy Świat 22. To, że te dwie redakcje mieściły się w jednym tylko pokoju, zawdzięczało się bliskiemu sąsiedztwu „Gastronomii”, w której część zespołu redakcyjnego okupowała stoliki. „Nikt się też nie dziwił, kiedy do jasno oświetlonej restauracji wpadał umorusany farbą drukarską goniec i wywijając odbitką szczotką, wołał: «Pan metrampaż Zych prosi o cztery wiersze petitu, bo mu wyskoczył

---

<sup>4</sup> B. Sowińska, *op. cit.*

<sup>5</sup> J. Styczeń, *Godzina z autorem „Pamiętnika Filipka*, „Poradnik Bibliotekarza” 1958, nr 4, s. 99.

bękart pod tytułem»”<sup>6</sup>. Są to wspomnienia Władysława Zambrzyckiego o pierwszych, trudnych latach pracy redakcji, kiedy współpracował z Henrykiem Butkiewiczem, Jerzym Plewińskim, Antonim Lewandowskim, Kazimierzem Wierzyńskim i innymi.

Po wojnie rozpoczął Zambrzycki pracę dziennikarską w redakcji „Expressu Wieczornego”. Prowadził tam kącik *Kto chce niech wierzy* zamieniony potem na *Kto chce niech czyta*. W dziale tym redaktor zamieszczał odpowiedzi na przeróżne pytania, które otrzymywał od czytelników. Pytania te przeważnie dotyczyły ciekawostek z życia ptaków i zwierząt leśnych. Felietony były nieprawdopodobnie ciekawe. Bardzo często czytelnicy dzielili się z redaktorem ciekawymi spostrzeżeniami zaobserwowanymi na wakacjach czy przy pracy. Listy pisane były przez wszystkich, dostawał je od dzieci w wieku szkolnym, od młodzieży, od naukowców i ludzi prostych. Niemało pytań dotyczyło rzadko spotykanych imion, proszono o wyjaśnienie ich etymologii czy też o datę imienin. Przy odpowiedziach autor korzystał ze starego kalendarza, w którym wyszukiwał dane imiona<sup>7</sup>. Żaden list nie został przemilczany, niektóre pytania nastęrczały wiele trudności i wymagały dużo czasu na odszukanie odpowiedzi. Sam autor mówi, że oprócz pisania „pasjonują mnie książki o ptakach, monografie nazwisk polskich, zbiory przysłów. Lubię także zagłębiać się w *Słownik etymologiczny* Brücknera”<sup>8</sup>.

Te dodatkowe zainteresowania pozwalały mu prowadzić ten dział. Jeżeli pytanie przerastało możliwości redaktora, wówczas zwracał się z prośbą o radę do specjalistów z poszczególnych dziedzin. Kiedy w grudniu 1961 roku pisarz z powodu ciężkiego stanu zdrowia przestał pracować, siostra jego otrzymywała mnóstwo listów i telefonów z pytaniami, co dzieje się z panem redaktorem, czy aby nie chory, że nie ma już w „Expressie” ich ulubionego kącika.

Po wojnie pracuje Zambrzycki nie tylko w redakcji „Expressu”, pisze również artykuły do „Tygodnika Polskiego”, czasopisma redagowanego dla Polaków we Francji. Zamieszcza tam urocze *Gawędy Walentyny*. Mają one na celu przybliżyć Polakom język ojczysty, pokazać jego urok i piękno, przeszkodzić w zapomnieniu kraju, przez opowiadanie przeróżnych ciekawostek historycznych i obyczajowych. Artykuły te, jasne, pisane ładną polszczyzną, może je przeczytać każdy i na pewno odniesie korzyść. Pięknie napisany jest artykuł *Kiedy trawień był majem* zamieszczony w numerze 12 z 20 marca 1960 roku. Wyjaśnia w nim autor nazwy wszystkich miesięcy w naszym kalendarzu.

Podobny charakter miały artykuły zamieszczane w tygodniku „7 Dni w Polsce”<sup>9</sup>. Działalność dziennikarska Zambrzyckiego była próbą jego pisarstwa.

---

<sup>6</sup> W. Zambrzycki, *Zagubiony narożnik*, „Stolica” 1960, nr 16, s. 5.

<sup>7</sup> *Kalendarz dla Polek na rok 1864*, Warszawa.

<sup>8</sup> B. Sowińska, *Książeczka i sztuka teatralna Wł. Zambrzyckiego*, „Kurier Polski” 1959, nr 294, s. 4.

<sup>9</sup> Opracowanie życiorysu i pracy dziennikarskiej Zambrzyckiego oparłam głównie na informacjach uzyskanych od siostry pisarza, pani Wandy Czapskiej z Poznania.

## ROZDZIAŁ II

### Analiza *Większej z kropelkami* i powieści pseudohistorycznych

Opowiadania Zambrzyckiego pisane dla „Expressu”, a zebrane potem w tomiku *Większa z kropelkami*, to pierwsza wydana jego książka. Oto, co mówi o jej powstaniu sam autor:

W redakcji „Czerwoniaka” powstała też pierwsza moja książka. Było to pod koniec lat dwudziestych. Pisywało się wtedy za 20 złotych opowiadania do niedzielного numeru. Zabarwiała się piórem fabułę różnych zdarzeń opowiadanych przez przygodnych ludzi. Kiedyś, a gwar i ścisk był tego dnia w redakcji wyjątkowo duży [...] zajął mi przez ramię Melchior Wańkowicz. Musiał być chyba w dobrym humorze, bo spytał czy mam nożyczki.

Zdziwiłem się, po co mu ten fryzjerski instrument, a on zaproponował bym powycinał z kompletu gazety kilkanaście możliwie napisanych opowiadań. Myślałem, że żartuje. Dla żartu więc zniszczyłem redakcyjny komplet i po kilku miesiącach miałem już wydaną w „Roku” pierwszą moją książkę pt. *Większa z kropelkami*. Strasznie jestem wdzięczny p. Melchiorowi, że ośmielił mnie i nakłonił do pisania<sup>10</sup>.

A teraz przyjrzyjmy się tym zebranych, krótkim i dowcipnym opowiadaniom. Cykl ten nie posiada jakichś uwidaczniających się powiązań kompozycyjnych, jest to raczej zbiór wielu samodzielnych i skończonych fabularnie utworów. W tej całości można wyróżnić kilka opowiadań powiązanych tematycznie, osnutych na ciekawych, groteskowych sytuacjach z życia redakcji dzienników i na tle anegdot historycznych. Do pierwszej grupy opowiadań należą: *Garden Party*, *Straszna noc*, *Bankiet dorożkarzy* i *Bankiet kolombofilów*.

Przeważającym typem narracji w tych opowiadaniach jest narracja autorska. Obok tego typu podawania występuje w niektórych humoreskach narrator jawny – bohater opowiadanych zdarzeń, bezpośrednio w nich uczestniczący. Kompozycja opowiadań jest zwarta, zwięzła, ogranicza się do jednego wątku lub zdarzenia.

Styl i język prosty, zmierzają do wywołania odpowiedniego efektu u czytelnika. Dobry, spokojny i wytrawny humor naprawdę bawi. Śmieszy nas czarny bokser, który z opóźnieniem zjawia się na mecz i ma już zastępcę w osobie czarnego portiera, obrzucający tego ostatniego wyzwiskami w rodzaju: „zmasakruję tę czarną małpę na marmoladę... zmasakruję... zmasakruję...”<sup>11</sup>.

W *Bankiecie dorożkarzy* dziennikarz, bohater opowiadania, wygłasza mowę na uroczystym przyjęciu, rozprawia o koniach, niewiele wiedząc na ten temat. Jego improwizacja jest wesoła, szczególnie w momencie, kiedy jako człowiek dbający o czystość języka zwraca uwagę zgromadzonych na często popełniane błędy:

Koń jest wprawdzie źródłosłowem wielu utartych wyrazów, jak kończyzna, koniczyna, koniferyna, koniak, Końskawola, ale we wszystkim trzeba znać umiar. Nie radzę panom wymawiać: końfitera, końklawe, Końfucjusz, gdyż to razi słuch i sprawia przygnębiające wrażenie<sup>12</sup>.

W dalszych swych wywodach dziennikarz stwierdza, że:

---

<sup>10</sup> K. Kłóś, *W kwaterze dobrotliwego figlarza*, „Słowo Powszechnie” 1959, nr 217.

<sup>11</sup> W. Zambrzycki, *Większa z kropelkami*, Warszawa 1929, s. 17.

<sup>12</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 109.

Stworzenie to czuje pociąg do pokarmów roślinnych. Sam znalazłem takiego konia, który jadł tylko zieleninę. Wprawdzie zimową porą karmiono go wiórami i trocinami, przedtem jednak trzeba mu było nakładać zielone okulary, aby nie mógł połapać się w kolorach<sup>13</sup>.

Te i temu podobne wywody nie pozwoliły dziennikarzowi doprowadzić do końca rozpoczętej oracji, wzbudziła ona bowiem żywe oburzenie wśród słuchaczy. Podobnie przedstawia się sytuacja w opowiadaniu *Bankiet kolombofilów*. Również dziennikarz, który nie ma pojęcia o gołębiach, nie wie nawet, kto to są kolombofile, na bankiecie wygłasza mowę o gołębiach.

Dwa opowiadania: *Garden Party* i *Straszna noc*, zbudowane są na podobnej zasadzie. Redaktor naczelny jest w kłopotcie, ponieważ dużo pracowników wyjechało na urlopy, nie ma komu powierzyć napisania odpowiednich artykułów. Trudna sytuacja zmusza go do polecenia sporządzenia sprawozdania z przyjęcia w sferach arystokratycznych oraz z życia biedoty w przytułku dla włóczęgów redaktorowi Rożenkowi, utalentowanemu reporterowi od pożarów. W opisach uczyły nie brak zwrotów charakterystycznych dla specjalności redaktora:

W dniu wczorajszym o godz. 8 min. 20 wieczorem, przechodnie zdążający ulicą Czerniakowską usłyszeli krzyki dolatujące z okien czteropiętrowej kamienicy [...]. Hałas, który zaalarmował przechodniów, był właściwie objawem dobrego humoru solenizanta p. Sikawskiego i zaproszonych biesiadników<sup>14</sup>.

Do drugiej grupy humoresek osnutych na tle anegdot i skojarzeń historycznych zaliczyć należy takie opowiadania jak: *Pieter Sluyt i dwaj jego mistrze*, *Radosna rezygnacja*, *Prawda o starym rozpustniku* oraz *Zemsta na tle historycznym*. Bardzo dowcipne jest opowiadanie *Zemsta na tle historycznym*. Pan Stanisław Biskupski w dzień swoich imienin siedział w restauracji i popijał w kratkę alasz z porterm. Takie popijanie wywołało odpowiednie skutki. Po pewnym czasie przeniósł się do bilardu i tam jednego z uczestników gry okładał mocno kijem po łysinie. Przerażony kelner wezwał policję i wszyscy znaleźli się na posterunku. Pan Biskupski oskarżał bitego przez siebie pana o morderstwo. Przy spisaniu całej sprawy okazało się, że oskarżony nazywa się Bolesław Śmiały, a pan Biskupski oburzał się na władzę, że ta nie zna historii.

Charakteryzowane humoreski są pełne dowcipu polegającego na wyszukiwaniu podobieństw między odległymi pojęciami, zdarzeniami oraz na kontrastach i niespodziance zestawień.

Do opowiadań tych autor nigdy nie przywiązywał wagi, mówił o nich ze wzruszeniem ramion.

\*\*\*

Za pierwszą dobrze opracowaną swoją książkę uważał *Naszą Panią Radosną* wydaną w 1931 roku nakładem „Roju”:

Pomysł napisania *Naszej Pani Radosnej* tkwił we mnie niejako od czasów młodości. Będąc jeszcze uczniem, czytałem popularny wtedy romans Bulwera-Lyttona *Ostatnie dni Pompei* i zainteresowałem się opisywaną tam epoką. Znacznie później, jadąc do Włoch, postanowiłem skonfrontować odniesione kiedyś wrażenie, więc wstąpiłem do Pompei i szukałem śladu chrześcijaństwa. No, ale to długa historia, czego innego szukałem i co innego

---

<sup>13</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 109–100.

<sup>14</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 37.



znalazłem. Zwiedzanie Pompei nie poszło jednak na marne, wyniosłem stamtąd pomysł napisania *Naszej Pani Radosnej*<sup>15</sup>.

W innym wywiadzie pisarz powiedział:

*Naszą Panią Radosną* napisałem z przekory. Kiedyś czytałem *Ostatnie dni Pompei*. Gdy byłem we Włoszech, odwiedziłem odkopane z popiołu miasteczko. Ni śladu owego patosu, cierpiętnictwa, poczucia własnej wielkości i bliskiej zagłady. Przewodnik – gaduła skądinąd niemożliwy – był w nie lada kłopotcie, gdy go pytał o wspomnienia wyczarowane piórem Bulwera-Lyttona. Zezłościło mnie to. Zakasałem rękawy i napisałem o Pompei takiej, jaką odkryli archeolodzy, czyli o małej, prowincjonalnej, nieco leniwej, zemeryciatej mieścinie. O Pompei na co dzień<sup>16</sup>.

Jakże, faktycznie, różna jest książka Zambrzyckiego od książki, której przeczytanie podsunęło mu pomysł jej napisania, i w ogóle od książek, które traktują o starożytności. Zambrzycki stara się te tak odległe czasy przybliżyć czytelnikowi przez ukazanie codziennego życia ludzi prostych, dopasowując do tego odpowiednio język i styl. Usiłuje również odkłamać dawne dzieje starożytności i pisać o nich tylko to, co jest prawdziwe. W *Naszej Pani Radosnej* pokazuje autor duchowe związki łączące nawet bardzo odległe od siebie kultury, epoki, związki, które łączą ludzi ponad historią, ponad ich przynależnością do danej cywilizacji. One to właśnie powinny ludziom współczesnym pomóc zrozumieć starożytność, powinny pozwolić mówić o niej bez niepotrzebnego patosu, jak o ludziach i historiach bliskich i znanych.

Materiały do powieści zbierał Zambrzycki, będąc na urlopie w Stabii we Włoszech. Wyrobił sobie w dyrekcji muzeum przepustkę na przebywanie w dowolnych godzinach wśród wykopalisk<sup>17</sup>.

Świat antyczny nie przestaje być pociągający i atrakcyjny dla ludzi XX wieku, którzy tak jak ludzie renesansu, baroku, oświecenia czy romantyzmu sięgają do niego. Czynią to w różnych celach: jedni, aby uciec od współczesności, inni szukają klucza dla zrozumienia swojej epoki, jeszcze inni, aby powiedzieć w miarę możliwości prawdę o tych czasach, przybliżyć je współczesnym. Czynią to, patrząc na starożytność jednak oczyma swoich czasów. Antyk bowiem zawiera niewątpliwie wartości wieczne, które każde nowe pokolenie dostrzega, przyswaja, ale inaczej odczytuje i interpretuje. Pisarzy pociąga również obfitość źródeł historycznych do tego okresu, wymienić tu należy Tacyty i Swetoniusza. Gabriela Pianko zauważa:

Okres dziejów rzymskich za cesarstwa jest znacznie chętniej brany przez powieściopisarzy za tło ich utworów. Nie ma w tym nic dziwnego, chrześcijaństwo choć tłumione i prześladowane rozwija się coraz potężniej, zagrażając panującej, oficjalnej religii, mnożą się kultury wschodnie, uprawia się astrologię i magię, nabrzmiewają konflikty społeczne i narodowościowe, napływają barbarzyńcy, najpierw jako jeńcy, gladiatorzy, niewolnicy, potem jako obrońcy chorującego od swego nadmiernego wzrostu państwa<sup>18</sup>.

W *Naszej Pani Radosnej* przenosi Zambrzycki czterech bohaterów, dwu Polaków i dwu Belgów żyjących w roku 1925, do starożytnej Pompei, na dwa lata przed

---

<sup>15</sup> J. Styczeń, *Godzina z autorem „Pamiętnika Filipka*, „Poradnik Bibliotekarza” 1958, nr 4, s. 100.

<sup>16</sup> K. Kłóś, *W kwaterze dobrotliwego figlarza*, „Słowo Powszechnie” 1959, nr 217.

<sup>17</sup> S. Podhorska-Okołów, *Od starożytnej Pompei do Warszawy pruskiej*, „Twórczość” 1957, nr 1, s. 118.

<sup>18</sup> G. Pianko, *Antyk w literaturze*, „Wiedza i Życie” 1959, nr 4, s. 234.

okropną katastrofą, którą powoduje wybuch Wezuwiusza, zalewający lawą pobliskie Herkulanum, a popiołem zasypujący Pompeję. Bohaterowie zupełnie dobrze czują się w I w. n.e., a pisarzowi pozwalają przekazać wrażenia i cenne spostrzeżenia ze zwiedzanej Pompei oraz wprowadzić do powieści doskonały humor.

W *Ostatnich dniach Pompei* Bulwer-Lytton ożywił i zapełnił bohaterami takie domostwa jak odkopaną w latach 1771–1775 willę Diomedesa czy odkryty w 1825 roku dom Poety Tragicznego (szczególnie dokładny opis). Ten ostatni dom zamieszkuje bohater powieści, Grek Glaucus. Mieszkańcy tych wspaniałych budowli to arystokracja Pompei napiętnowana stygmatem wielkości. Natomiast Zambrzycki bohaterów swoich czyni lokatorami Tulii, samotnej wdowy z Apulii.

Po przeanalizowaniu i skonfrontowaniu opisywanych w *Naszej Pani Radosnej* realiów Pompei z przedstawionymi wykopaliskami tegoż miasta przez Rajmunda Gostkowskiego w książce *Pompeje* stwierdzić można, że wszystkie one są zgodne z rzeczywistymi, odkopanymi zabytkami. Tak więc pierwszym opisywanym przez Zambrzyckiego budynkiem z Pompei jest jadłodajnia „Pod Słoniem”, własność Sittiusza. Sąsiadowała ona z wesołym lokalikiem, a na jej drzwiach widniał słoń, pod którym znajdował się napis: „Sittius Restituit Elephantu”<sup>19</sup>. Gostkowski o odkopanej restauracji Sittiusza pisze:

Miały one (hoteliki) niekiedy godła i nazwy tak jak obecnie, gdyż w regio VII hotelik mający obok stajnię niejakiego Sittiusza miał na drzwiach wymalowanego słonia, pod którym był napis „Sittius Restituit Elephantu” – „odnowił słonia”, czyli zwał się szynkiem pod słoniem<sup>20</sup>.

Takich przykładów można podać jeszcze wiele. Jeżeli by wyodrębnić podczas czytania lektury te momenty, które dotyczą opisu realiów Pompei, można by uzyskać mały przewodnik po odkopanym mieście. Nie brak przy tym wszystkim wiadomości o ewentualnym stanie tych budowli w I w. n.e. Dowiadujemy się więc, że w odległości kilkudziesięciu kroków od zajazdu wznosiły się zaniedbane mury Pompei. Na wielkich, postrzępionych głazach rosła trawa, bujnie pomieszana z chwastami. Gostkowski pisze również, że mur miejski z biegiem czasu na skutek bezpieczeństwa Italii po wojnach w latach 90–80 p.n.e. stawał się zupełnie niepotrzebny. Doszło do tego, że zaczęto mur rozbierać, a na jego miejscu stawiać domy, toteż na boku zachodnim i południowo-zachodnim zniknął pod domami<sup>21</sup>. Takie konfrontacje opisów miasta w *Naszej Pani Radosnej* z opisami u Gostkowskiego można robić na każdym kroku, a więc przy przedstawianiu forum, łaźni, teatrów oraz domów: bankiera Cecyliusza, Fuska i lekarza Civilisa.

Autor zdumiewa nas nie tylko tymi szczegółowymi opisami budowli Pompei, ale również szczegółami obyczajowymi podanymi w powieści. Łączy przy tym doskonale prawdę historyczną z fantazją. Pisząc na przykład o święcie wiosny obchodzonym w pierwszych dniach marca, nazywa je Zielonymi Świątkami:

Nigdy nie widziałem tak radosnego powitania wiosny, jak w owym dniu poświęconym Junonie. Wszystkie domy, ulice i place zazieleniły się, zapachniały. Gałęzie, wodorosty i kwiaty zwożono wozami, znoszono w koszach, dostarczano na osiołkach<sup>22</sup>.

---

<sup>19</sup> W. Zambrzycki, *Nasza Pani Radosna*, Warszawa 1959, s. 59.

<sup>20</sup> R. Gostkowski, *Pompeje*, Lublin 1954, s. 216.

<sup>21</sup> R. Gostkowski, *op. cit.*, s. 36.

<sup>22</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 194.

Podobnie jest z weselem Helenki i Kubusia. W przeddzień ślubu Helenka zanosí swoje zabawki i lalki w darze Junonie na znak, że przestaje być dzieckiem. Nie brak w orszaku ślubnym towarzyszącym młodej parze takich rekwizytów jak: gałązki tarniny dla odpędzenia uroków, kądzieli, wrzeczona oraz koszyka z przyborami do robót kobiecych.

Helenka na jakieś pytanie męża odpowiada, że gdzie on będzie, tam i ona:

Dla pokazania, że będzie dobrą prządką, zawiesiła na drzwiach pęczek wełny i wreszcie posmarowała futryny tłuszczem wieprzowym, aby złe duchy nie miały dostępu. Towarzyszki wniosły ją do atrium, uważano by bowiem za złą wróżbę, gdyby stopą dotknęła progu. A Kubuś, spocony i troszkę zły z powodu zbyt długich formalności, rzucił dzieciom ulicznym garść orzechów<sup>23</sup>.

Ponieważ Kuba był cudzoziemcem, a w dodatku niewolnikiem, nie przysługiwało mu prawo spisania legalnego aktu ślubnego. Mógł zawrzeć związek „sine conventionem in manu” oparty na wzajemnej przysiędze<sup>24</sup>.

Kuchnia pompejańska z 78 i 79 r. n.e. jest zupełnie strawna, a nawet smaczna dla ludzi z XX wieku, jakkolwiek posiłki spożywane przez bohaterów są co do składu prawdziwie historycznie. Miasto posiada kanalizację, wodociągi, łaźnie, a Kubuś z wygódki wraca wielce rozradowany, zdając sprawozdanie: „zupełnie nowoczesne urządzenia, tylko nie pociąga się za łańcuszek, bo do tego jest kran”<sup>25</sup>. Nie zauważył Kubuś żadnego postępu wiedzy lekarskiej, zdenerwowało go to, że właściwie ordynacja lekarza pompejańskiego niewiele różni się od ordynacji pierwszego lepszego lekarza warszawskiego. Jego zdaniem rząd niepotrzebnie utrzymuje tyle fakultetów medycznych, skoro nie wynaleziono nic nowego.

Ożywiona przez Zambrzyckiego Pompeja staje się dla czytelnika miastem bardzo bliskim, jakich wiele jest na świecie, a to dlatego, że starożytności odbiera autor historyczną wielkość, martwość i stara się mówić o tym okresie prawdę. Studia nad starożytnością przekonały Kubusia, socjalistę, o potwornej wprost doli niewolników i gladiatorów, a tu niestety przychodzi mu stwierdzić:

Rzeczywistość przeczy logice, którą sobie wyrobiłem dzięki mozolnym studiom. Zaczynam tracić zaufanie do książek o historii. Starożytność widzę w karykaturze. Patrycjusze gawędzą językiem przekupek, na forum mieszają się z plebsem. Niewolnica nie chce wolności<sup>26</sup>.

Szokiem dla Kubusia jest wizyta w koszarach gladiatorów i rozmowa ze starszym, byłym zapaśnikiem. Gladiator zapytany czy nie ogarnia go chęć buntu, odpowiada, że oczywiście, raz odmówił posłuszeństwa i został skazany na chłostę. Powodem do buntu było to, że przedsiębiorca widowiskowy chciał go zmusić do walki z panterą, a on upierał się, by walczyć z lwem. Prócz tego dowiedział się Kubuś, że zwierzęta przed igrzyskami są solidnie karmione i trzeba je dobrze rozdrażnić, żeby zachęcić do walki. To powiedzenie o gladiatorach zupełnie czegoś przeciwnego niż mówi historia pozwala pułkownikowi Bodineau dać w przypisach bardzo słuszne spostrzeżenie:

---

<sup>23</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 263.

<sup>24</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 217.

<sup>25</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 64.

<sup>26</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 86.

Jeśli wolno mi sądzić z tego, co widziałem, to nie mogę oprzeć się uwadze, że my, współcześni, mamy o gladiatorach zhistryzowane wyobrażenie. Los ich nie był gorszy od losu hiszpańskich torreadorów<sup>27</sup>.

Zadziwiający jest los niewolnika Monotroposa. Ogromny i silny ten chłop, pozabawiony męskiej ręki pana, robił co chciał, rozpróżniaczył się do tego stopnia, że nawet Kubuś, socjalista, wpadał chwilami w pasję. Zrozpaczona wdowa, właścicielka niewolnika, skarży się na niego:

Co ja z nim mam [...]. Ileż już razy mówiłam mu, by się wyniósł. Ale o wolności słyszeć nie chce. Groził wręcz, że jeżeli go uwłasnowolnię, to mi w całym domu porąbie rury ołowiane. Przed dwoma laty chciałam go zamienić na ogródek warzywny, lecz sam edyl Aulus Firmus, bojąc się awantur, odradzał<sup>28</sup>.

Ludzie żyjący w społeczeństwie, bez względu na epokę, mają podobne kłopoty i muszą podporządkować się obowiązującym rygorom. Wszyscy nasi bohaterowie muszą uchodzić ze swych ojczystych stron, ponieważ są w nie najlepszej zgodzie z prawem. Pułkownik po przeniesieniu się do pogańskiego Rzymu oświadczył przyjacielom, że wreszcie żaden celnik i żaden prokurator nie przyczepią się do nich, ale nawet ta nadzieja zawodzi. Po przybyciu do Pompei wszyscy czterej bohaterowie składają wizytę edylowi miasta. Aulus Firmus pyta przybyszów o ojczyste kraje i Kubuś oświadcza mu, że pochodzi z Kalisza. Edyla zmartwiła prawdomówność Kubusia, ponieważ miasto owo ma smutną sławę. Ograbiona tam została cesarska karawana kupiecka. Przerwane zostały stosunki handlowe z krajami na północ od Gór Sarmackich z rozkazu wielkorządcy Panonii. Edyl, wypełniając swoje obowiązki, musi przesłać do Rzymu raport o całej tej sprawie. Grupa przyjaciół znowu jest pod dozorem władzy. Pułkownik, przerażony nieprawdopodobieństwem sytuacji, mówi:

Cofamy się o kilkanaście stuleci, zrywamy całkowicie z teraźniejszością i raptem, z powodu jakiegoś księcia, który na czele zgrai barbarzyńców wymordował karawanę rzymską, nas, ludzi dwudziestego wieku, pociągają do odpowiedzialności<sup>29</sup>.

W *Naszej Pani Radosnej* dużo miejsca poświęca autor rozważaniom na temat religii pierwszych wieków naszej ery w Cesarstwie Rzymskim. W Pompei ludność tubylcza czci swoich bogów, ale nie zamyka bram miasta dla przybyszów o innych wyznaniach. Spotykamy tu gminy chrześcijańskie, greckie i żydowskie oraz czcicieli Mitry.

Tadeusz Zieliński w rozprawie *Rzym i jego religia* pisze:

Rzym i jego religia od wieków pozostają ze sobą w tajemnym pokrewieństwie. Nie bez zasady sam wyraz „religia”, przyjęty przez wszystkie języki kulturalne i w żadnym niezastąpiony wyrazem tubylczego pochodzenia, stworzony został przez Rzym. „Religia” – jest to coś innego niż wiara, niż wyznanie, niż pobożność, jest to tajemniczy łańcuch „wiązący” nas z czymś, co istniało nad nami, na czym by cokolwiek to coś polegało. Możemy zaniechać wszelkich praktyk pobożności, możemy wyrzec się wszelkich dogmatów, stanowiących pewne wyznanie, możemy nawet utracić wszelką wiarę, a mimo to pozostaniemy religijnymi póty, dopóki w ujmowaniu wszechbytu dostrzegamy pewną dziedzinę dla tego, co Niepoznawalne i czujemy się zdolni zająć wobec niego tę lub ową postawę. Tak rozumował sam Rzym

---

<sup>27</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 15.

<sup>28</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 135.

<sup>29</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 92.

swoją religię, tak nauczyli się odeń rozumować wszyscy ludzie religijni całego świata kulturalnego<sup>30</sup>.

Autor *Naszej Pani Radosnej* wiele mówi o Żydach i ich kulcie. Charakteryzuje doskonale zhellenizowanych Żydów, ich przedstawicielem jest Ruben, który odpowiadając na pytanie, czy nikt z nich nie zna hebrajszczyzny i czy zapomnieli języka praojców, podaje cechy znamienne swoich współbraci:

Modlimy się po hebrajsku, bo to jest święty język, język Jehowy. Ale aleksandryjscy rabini piszą po grecku, choć im za to urąga rabinat jerozolimski. Teraz tu jest dużo Żydów z Jerozolimy. Tytus przywiózł ich na okrętach, byli uważani za niewolników, ale obecnie są już wolni. Oni nas nazywają epikurejczykami. Za co? Może za to, że okazujemy więcej szacunku dla naszych sióstr i matek niż oni? Może za to, że nie spluwamy na widok poganina? Że młodzież goli brody, nie nosi pejsów i kąpie się dla przyjemności? Że niektórzy z nas gimnastykują się na palestrze? Ja się pytam, gdzie jest powiedziane, że tego nie wolno?<sup>31</sup>

Żydzi nie uznawali personifikacji Boga. I ten ciekawy temat porusza Seutes, kapłan Junony:

Zauważcie, iż niektórzy Żydzi zupełnie nas nie rozumieją, inni nie chcą rozumieć. Na przykład nasze zamiłowanie do przyozdabiania świątyń tłumaczą zupełnie błędnie, zarzucając nam kult bałwanów. W rzeźbie widzimy wszak dzieło sztuki. Sam pomysł nadawania wyglądu bóstwu jest niedorzecznością, wygląd bowiem może mieć tylko konkret, a nie abstrakt. Bóstwo zaś jest abstraktem, o czym wie każdy wykształcony człowiek. To tylko lud, nie umiejący wyobrazić sobie czegoś, co istnieje poza przestrzenią i czasem, musi mieć bóstwo uosobione w posągu. Wznosimy więc dla ludu posągi na podobieństwo człowieka<sup>32</sup>.

To nie koniec rozważań na temat wyznania żydowskiego. Oto dialog między Seutesem a rabbim Jochai:

Podobno powtarzacie co rano słowa modlitwy: „Słuchaj, Izraelu, Bóg jest nasz, Bóg jest jeden” i w tym ma się mieścić największa mądrość waszej nauki.

– Tak, nie mylisz się, kapłanie – odparł reb Jochai – słowa te zawierają w sobie naszą wiarę w jedyne Boga.

– Lecz mówiąc „Bóg jest nasz i jeden jest”, przez to samo nie odrzucacie możliwości istnienia innych bogów. Wszak Rzymianin może powiedzieć: „Cesar jest nasz i jeden jest”, nie wątpiąc poza tym, iż w ościennych krajach rządzą inni monarchowie. Wy, Żydzi, modlicie się do Jehowy, jak ateńczyk modli się do Pallady, Pers do Mitry, a Egipcjanin do Izydy. Gdy cudzoziemiec przybywa do Grecji, przede wszystkim śpieszy pozdrowić jej bogów. Czemu wy, Żydzi, spluwacie na widok naszych świątyń?

Reb Jochai odrzekł:

– Spluwanie jest dowodem złego wychowania. Wykształcony Żyd nie pozwoli sobie na coś podobnego, ale też nigdy nie złoży hołdu obcym bałwanom. Albowiem powiedziane jest: „Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną, nie będziesz im się kłaniał ani służył, bom ja jest Bóg twój, Bóg zawistny”.

– A nas uczyli filozofowie, że zawiść zaprzecza boskości. Wybacz, lecz dotychczas nie widzę, aby wasz Zakon był wyższy.

– Wyższy jest, gdyż chwali najwyższego Boga. Nasz Bóg jeden jest nad nami, niezrodzony, przewielki, wszechmocny. Wszystko widzi, sam będąc niewidzialny.

– Otóż to. Zarzut, jaki nam stawiacie z powodu wielobóstwa, godzien jest plebsu, lecz nie filozofów. Różnica co do ilości wyższych istot jest w gruncie rzeczy niczym. Liczba, powtarzam, istnieje w przestrzeni albo w czasie. Nie ma jej w sferze bóstwa. Miałaby sens jedynie przy materialnym pojmowaniu najwyższej istoty. Pomijając przemiłe klechdy helleńskie,

---

<sup>30</sup> T. Zieliński, *Rzym i jego religia*, Zamość 1920, s. 100.

<sup>31</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 100.

<sup>32</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 114–115.

w religii naszej nie ma rywalizujących bogów. Jest tylko jednowartościowość pojęcia „bóg” i „bogowie”. Najwyższa istota, o której nie wspominamy plebsowi, by nie wnieść zamieszania, jest bezkształtna, wszechmocna i nieskończona jak Jehowa. Wasz Bóg stworzył pierwszego człowieka na podobieństwo własne, my zaś podobiznom bogów nadajemy kształt ludzki. Czyż nie słusznie?<sup>33</sup>.

Te rozprawy o monoteizmie izraelskim przeciwstawianym politeizmowi helleńskiemu nie ustępują w niczym rozmyśleniom Tadeusza Zielińskiego. Przytoczę dla przykładu fragment książki *Hellenizm a judaizm*:

Po pierwsze „Nasz Bóg” mówią judajczycy „jeden jest” – tak samo, dajmy na to jak i nasz król, Antioch III, jeden jest, nie wyklucza to istnienia u innych narodów, innych królów i innych bogów, jest to więc raczej „monolatria” niż monoteizm. W tym ujęciu dogmat nie zawiera w sobie nic sprzecznego z religijnym sumieniem Hellenów, ale też i nic dla nich nowego. Ateńczycy modlą się do Pallady, Antiochijczycy do Apollina, Persowie do Mitry – niech więc Judajczycy modlą się do Jehowy, to rzecz zupełnie naturalna. I my pomodlimy się do niego, jeżeli los zaprowadzi nas do Jerozolimy, i spodziewamy się, że i wy, będąc naszymi gośćmi w Antiochii, złożycie hołd Apollinowi w jego pięknej świątyni dafnejkiej.

Otóż więc nie. Pierwsze z pewnymi ograniczeniami jest jeszcze możliwe, natomiast drugie jest zupełnie wyłączone, nigdy wasz bałwan antiochijski nie otrzyma od nas hołdu.

– Proszę, z jakiejże racji?

– Musicie bowiem wiedzieć, że nasz Bóg jest najwyższy pomiędzy bogami: on oddał narody pod władzę ich bogów, z nami zaś zawarł przymierze, zostawiając sobie Izraela jako swój udział osobisty. Tkwi w tym mniemaniu wielka zarozumiałość, do której, wątpię, aby wasze dzieje i wasze zasługi przed ludzkością dawały wam prawo, ale niech tak będzie. Skoro więc wasz Bóg oddał nas Antiochijskich Hellenów pod władzę Apollina – dlaczego więc będąc naszymi gośćmi, odmawiacie hołdu naszemu panu a waszemu gospodarzowi?

– Dlatego że powiedziane jest: nie będziesz miał bogów cudzych przed oczyma memi, nie będziesz się im kłaniał ani służył, bom ja jest Pan Bóg twój, Bóg zawistny.

– A nas uczył mistrz nasz Platon, że zawiść z daleka stoi od boskiego chóru. Wybacz mi, ale dotychczas nie zdaje mi się, by wasz zakon był lepszy od naszego<sup>34</sup>.

Szczególnie cenne w *Naszej Pani Radosnej* są karty poświęcone ukazaniu kontrastu pomiędzy recepcją chrześcijaństwa przez gminy żydowskie z jednej strony a przez środowiska wychowane w kulturze greckiej z drugiej.

Seutes opowiada o niewolniku bankiera Cecyliusza, członku sekty żydowsko-chrześcijańskiej, który zaniedbał się zupełnie, przestał bywać u cyrulika, stał się ponury i milczący. Seutes nie potępia wierzeń tej sekty, ale ma ich systemowi wiele do zarzucenia: przede wszystkim obojętność na sprawy życia codziennego. Ludzie wyznający tę wiarę stają się niebezpieczni, ponieważ mistycyzm pozbawia ich zupełnie instynktów twórczych, są na wszystko obojętni, z rezygnacją znoszą przeciwnieństwa losu, nie stawiając żadnego oporu. Taka postawa niebezpieczna jest dla państwa. Na ogół jednak są to ludzie łagodni i dobrodusznymi, chcą tylko, aby ich pozostawiono w spokoju.

Kiedy Kubaś musi uchodzić z Pompei, chroni się w Neapolu u mieszkających w katakumbach Żydów chrześcijan. O obyczajach panujących w tej sekcie pisze Kubaś w liście do swoich przyjaciół. W ich katakumbach nie spotyka się znaku krzyża, natomiast na niektórych płytach grobowcowych wykute są serca, baranki, gołębie, kotwice i ryby. Napisy przeważnie hebrajskie i greckie. Ich kaplica przypo-

---

<sup>33</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 120–121.

<sup>34</sup> T. Zieliński, *Hellenizm a judaizm*, Warszawa 1927, s. 41–42.

mina rozszerzony korytarz i jest zupełnie pozbawiona ozdób, mieści się w niej tylko kamienne wzniesienie dla kapłana. Zupełnie inne obyczaje panują w sekcie Greków chrześcijan. Radosny i pogodny, a przy tym posiadający całą sympatię autora jest opis tej gminy i wyraźnie kontrastuje on z opisem gminy Żydów chrześcijan. Oto co Kubuś pisze o gminie chrześcijańskiej prowadzonej przez Greków:

Kapłanem naszym i przywódcą jest szlachetnie urodzony Teofil, osobisty przyjaciel św. Łukasza ewangelisty, z którym prowadzi stałą korespondencję [...]. Gmina nasza liczy około dwustu osób. Jest mniej liczna od żydowskiej, ale za to rozwija się lepiej. Podczas gdy tamci, trzymając się starych przepisów, kostnieją z każdym dniem, my rzucamy w świat hasła zbudowane na najszczytniejszych podstawach etyki [...]. Opowiem wam teraz, jak wygląda nasza świątynia. Wyobraźcie sobie, że kościoła w ścisłym tego słowa znaczeniu nie mamy wcale. Nabożeństwa, a właściwie pogadanki treści moralnej, odbywają w ogrodzie ojca Teofila, zacienionym starymi platanami.

W dalszym ciągu listu Kubuś opisuje wrażenia z pierwszej nauki wysłuchanej u ojca Teofila:

Słońce zalewało ogródek. Pnie platanów błyszcząły jak srebro. Mężczyźni, kobiety i dzieci siedzieli wprost na murawie, swobodni, niemal rozbawieni. W ścianie domu znajduje się wmurowany obraz mozaikowy, przedstawiający młodzieńca o złotych włosach grającego na harfie, dokoła którego na łące zielonej spoczywa stado baranków. Podniósłszy pyski, zwierzęta tulą się do Pasterza. Zapewne pieśń nie jest smutna, gdyż Dobry Pasterz ma twarz uśmiechniętą, oczy jasne, szczęśliwe, z ufnością wzniesione do nieba [...]. Obraz tonął w kwiatkach. Każda wchodząca kobieta przynosiła nieco świeżego kwiecia. Mężczyźni pozawieszali sobie wianki na skroniach jak podczas uczty. Nie zauważyłem żadnego zdziwienia na mój widok. Nie tylko nikt nie boczył się na mnie, nikt o nic nie pytał, ale jako gościowi dano mi najlepsze miejsce tuż przed obrazem. Dwie dziewczyny, jedna z dzbanem wody, druga z koszem owoców, kręciły się po ogrodzie częstując zebranych. Nad naszymi głowami wirowało stado gołębi<sup>35</sup>.

Cały opis utrzymany jest w tym stylu. Pełno tu szczęśliwości, uśmiechu, pogody, słońca i dobroci. Wielka to apoteoza zhellenizowanego, pogodnego chrystianizmu, w którym „najgłębszą esencją bytu jest radość, aktywna, zdobywcza radość Boga-Demiurga, identyczna w swej istocie z samym aktem stworzenia”<sup>36</sup>.

Głównym hasłem przetransponowanym przez całe te rozważania to tolerancja. Ogromnej żywości wiary towarzyszy daleko posunięty liberalizm w stosunku do cudzych poglądów religijnych, bez troskie traktowanie norm religijnych. Żyd Ruben, bohater powieści zyskujący całą naszą sympatię i sympatię autora, obiecuje wdowie Tulii boga pogańskiego od przybyszów z dalekich krajów, prowadzi dyskusję z kapłanem Seutesem, stara się o rudą krowę dla zbawienia gminy ben Nannosa. To wszystko nie przeszkadza mu być naprawdę dobrym człowiekiem. Postać tę stworzył Zambrzycki na wzór dobrego swojego przyjaciela, dziennikarza, z którym wspólnie wymyślali do gazet różne niewinne kłamstewka, Szymona Krongolda, Żyda, człowieka o niesłychanej dobroci<sup>37</sup>.

Wymienione wyżej hasła znajdują jeszcze potwierdzenie w liście apostołskim św. Łukasza do ojca Teofila. Doskonale stylizowany list apostołski jest herezją, je-

---

<sup>35</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 287–288.

<sup>36</sup> S. Lichański, *Na śmierć Diogenesa*, „Więź” 1962, nr 6, s. 163–167.

<sup>37</sup> Informacja od siostry pisarza.

śli chodzi o jego zgodność z zasadami wiary chrześcijan, ale nie jest herezją, jeśli chodzi o filozofię autora:

Jehowa mściwy i krwawy nie jest ojcem Chrystusa Pana. Bóg nasz przedwieczny jasny jest jako słońce, dobrotliwy jest i radosny<sup>38</sup>.

Radość z życia i nieprzeparta chęć przedłużenia go nie pozwalają autorowi zgodzić się z jego końcem, stąd chęć przedłużenia jego trwania w nieskończoność:

Koniec przykazania naszego jest miłość z czystego serca, z sumienia dobrego i wiary nieobłudnej, a zapłatą nam będzie zbawienie wieczne<sup>39</sup>.

W rozważaniach na temat religii żydowskiej starałam się pokazać, że wiele zaczerpnął Zambrzycki od Tadeusza Zielińskiego. Widać to nie tylko w opisach kultów religijnych, ale i w ideowym wątku powieści.

Bohaterowie, opuszczając starożytną Pompeję, zabierają ze sobą posąg Junony i jej kapłana Seutesa. Posąg bogini w miasteczku belgijskim staje się czczonym przez jego mieszkańców posągiem Matki Boskiej, a przemiana ta zaakceptowana zostaje przez siły wyższe cudem uzdrowienia inwalidy wojennego. Natomiast Seutes, po rozszerzeniu swojej wiedzy przy wydatnej pomocy pułkownika umiejącego załatwić najdziwniejsze sprawy, staje się proboszczem katolickim. Można tu śmiało zacytować słowa kończące rozprawę Tadeusza Zielińskiego *Rzym i jego religia*: „Maria Sopra Minerwa” – zmieniając Minerwę na Junonę. Ryzykowne stwierdzenie, jakoby Starym Testamentem dla chrystianizmu były wyznania starożytnych Greków, a nie żydowskie, odpowiada filozofii autora.

Kult zhellenizowanego i pogodnego chrystianizmu oraz daleko posunięty liberalizm oto myśli przewodnie *Naszej Pani Radosnej*. Nie należy się więc dziwić, że książka nie spotkała się z przychylnym przyjęciem społeczeństwa międzywojennego. Sam autor mówi o tym:

Ano, efekt był taki, że wszyscy się na mnie pogniewali. Endeków rozeźliło to, że jedyną w pewnym sensie dodatnią postacią był Żyd Reuben, Żydzi obrazili się za wyciągnięcie ze Starego Testamentu rudej krowy odpuszczającej, jak wiadomo, grzechy całej gminie, socjaliści mieli mi za złe żarty z ubezpieczeń społecznych, zaś pewien organ sfer drobnomieszczańskich zawyrokował po prostu: w szanującym się domu nie ma miejsca dla książek p. Zambrzyckiego. W pismach prowincjonalnych wreszcie, zależnie od ich barwy, zarzucano mi na przemian: to świętoszkowatość, to znów niesmaczne żarty graniczące z bluźnierstwem<sup>40</sup>.

W „Twórczości” z 1957 roku Stefania Podhorska-Okołów pisze: „Ta rewelacyjna i rewolucyjna książka o antyku wywołała gniew i oburzenie na autora”<sup>41</sup>. Właściwą pozycję w literaturze wyznaczyli jej dopiero Kazimierz Czachowski i Tadeusz Pini.

Po wydaniu *Naszej Pani Radosnej* rząd włoski przyznał autorowi nagrodę: między innymi wolne przejazdy wszystkimi środkami lokomocji. Zambrzycki nie przyjął nagrody, nie chciał jej z rąk takiego człowieka jak Mussolini. Ambasada Włoska w Polsce urządziła przyjęcie na cześć pisarza, ale ten, chociaż obecny w Warszawie, nie przybył na nie.

---

<sup>38</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 292.

<sup>39</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 290.

<sup>40</sup> J. Styczeń, *Laureaci nagrody miasta stołecznego Warszawy*, „Stolica” 1958, nr 2, s. 8.

<sup>41</sup> S. Podhorska-Okołów, *Od starożytnej Pompei do Warszawy pruskiej*, „Twórczość” 1957, nr 1, s. 119.



W roku 1959 wyszło drugie wydanie *Naszej Pani Radosnej*. Powieść doczekała się już przekładu na język węgierski, wydana tam została w 1959 roku. Przekładem na język francuski zajęła się Barbara Keeler, niestety już ukończone tłumaczenie spalili Niemcy wraz z całym paryskim Hôtel Cameille. Ponowne tłumaczenie doszło do stu stron, niestety śmierć Barbary Keeler nie pozwoliła pracy doprowadzić do końca<sup>42</sup>.

\*\*\*

Następną wydaną przez Zambrzyckiego powieścią jest *Pamiętnik Filipka*. W jednym z wywiadów prasowych autor mówi o pracy nad nią:

Gromadzenie materiałów trwało dwa lata – 1948 i 1949 r. Przesiadywałem wówczas całymi dniami w Archiwum Miejskim, które mieściło się dawniej przy ul. Marszałkowskiej 8. Studiowałem przede wszystkim wszelkiego rodzaju pamiętniki. A więc m.in. notatki A. Magiera, przyrodnika, profesora fizyki i astronomii w Liceum Warszawskim, pamiętnik dr. D.F. Gedroycia o szpitalach warszawskich, pracę Aleksandra Kraushara (m.in. *Bourboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie*) i wiele innych. Pisanie *Pamiętnika Filipka* zabrało mi następne dwa lata. Książka była gotowa w roku 1951. Trzymałem ją w biurku, bo wątpiłem, czy zainteresuje ona wydawców. Dowiedział się jednak o niej dr Julian Maliniak, który zabrał rękopis i z własnej inicjatywy przekazał go do „Czytelnika”. Dopiero jednak po wielu latach – w roku 1956 – książka ukazała się w druku<sup>43</sup>.

Autor *Pamiętnika Filipka* zapytany przez Kazimierza Kłosa, czy wszystko, co napisał w tej powieści, jest prawdą, odpowiada:

Ależ tak, oczywiście. Z tym drobnym zastrzeżeniem, że jest to prawda zabarwiona literaturą. Po co zmyślać, życie jest bardziej dziwne niż fantazja! Gdy po latach spoczynku w szufladzie „Filipek” wyjrzał z witryn księgarni, otrzymałem szereg listów od czytelników. Jedni wymyślali mi, że bujam, inni gratulowali, że pięknie koloryzuję. A przecież to, o czym napisałem, każdy może znaleźć dziś jeszcze w starych szpargałach. Tylko, że uczeni węższą w nich za wielkimi ludźmi, za historią. Ja wolę historyjki. O tym na przykład, że książe Józef farbował sobie włosy ormiańskim sposobem i że Coulon manipulował zatrutymi marchewkami. Te historyjki są zresztą tak samo autentyczne, jak to, że w owych latach Linde pracował nad swoim słownikiem, Hoffmann chrzczył Żydów, a Prusacy okupowali Warszawę. Zresztą... byli i tacy czytelnicy, którzy nie wierzyli, że napisałem sam *Pamiętnik*. Dziękowali mi w listach za to, że wyszperałem i ocaliłem od zapomnienia zapiski z „epoki”<sup>44</sup>.

Autorem *Pamiętnika* czyni Zambrzycki Filipka:

Nazywają mnie próżniakiem zygmuntofskim, bo zwykle stoję albo siedzę pod kolumną Zygmunta i patrzę na Warszawę. Dobrze wybrałem sobie miejsce, chyba najlepsze, wszystko i wszystkich widzę, a i mnie widzą wszyscy. Każdy, kto idzie z rynku na Krakowskie Przedmieście, musi przejść koło mojej kolumny<sup>45</sup>.

Ten „chłopiec na posyłki” dla prawie całej Warszawy wieczorami zapisuje wszystko, co zaobserwuje w mieście. Przypisanie autorstwa *Pamiętnika* Filipkowi pozwala Zambrzyckiemu z przestudiowanych materiałów i źródeł wybrać właśnie historyjki, mówić o życiu codziennym Warszawy, bo takie właśnie życie obserwował Filipek. To autorstwo inteligentnego, ale w swym rozumowaniu naiwnego Filipka umożliwia również autorowi wprowadzenie do powieści doskonałej anegdoty,

---

<sup>42</sup> Informacja od siostry pisarza.

<sup>43</sup> M. Wojewódzki, *Laureat nagrody literackiej miasta Warszawy pisze nową książkę pt. „Kwatera Bożych Pomyleńców”*, „Express Wieczorny” 1958, nr 10, s. 5.

<sup>44</sup> K. Kłóś, *W kwaterze dobrotliwego figlarza*, „Słowo Powszechnie” 1959, nr 217.

<sup>45</sup> W. Zambrzycki, *Pamiętnik Filipka*, Warszawa 1957, s. 8.

humoru i typowej dla niego mistyfikacji. Świetna znajomość szczegółów pozwala mu zupełnie zatrzeć różnicę między prawdą a fantazją na dany temat. Epokę, a mianowicie lata 1804–1806, przybliży autor nie tylko przez przedstawienie codziennego życia miasta, ale również przez ukazanie przebogatej galerii typów.

Fryderyk Skarbek w *Pamiętniku Seglasy*, z którego niewątpliwie również korzystał Zambrzycki, o Warszawie tych lat pisze:

Warszawę za panowania pruskiego przyrównać można do owego opustoszałego zamku, w którym niegdyś bogata rodzina przemieszkiwała, a co teraz opuszczony stoi, lecz zachował jeszcze wszystkie znamiona świetności i zbytku<sup>46</sup>.

Zgodni są w swoich relacjach co do życia miasta Warszawy wszyscy pamiętnikarze tych lat, bo też stolica, pozbawiona dworu królewskiego i dworów magnackich, w roku 1806 liczyła zaledwie sześćdziesiąt osiem tysięcy czterystu jedenastu mieszkańców.

Atmosferę tego okresu dobrze oddaje *Pamiętnik Filipka*. Zaraz na pierwszych stronach wszędobyłski Filipek informuje, że na Krakowskim Przedmieściu mieszka hrabia de Lille, a z nim kupa Francuzów. Ten hrabia to król Ludwik XVIII, który schronił się do Warszawy przed jakobinami. Z dalszych relacji dowiadujemy się wszystkich szczegółów z życia Ludwika XVIII:

Nieraz, kiedy sobie stanę w Krakowskiej Bramie i patrzę wprost przed siebie, na balkonie drugiego piętra domu Wasilewskiego ukazuje się tłuściutki pan w ciemnym fraku, białej kamizelce, popielatych spodniach i butach z czarnego aksamitu [...]. I widzę, jak tłuściutki pan przestępuje z nogi na nogę. Postoi chwilę na lewej, potem na prawej, potem stanie na obu nogach i znów podnosi prawą albo lewą. Drypta – powiadam – drypta, będzie deszcz. I zawsze tak jest, kiedy hrabia de Lille niespokojnie stąpa z nogi na nogę. Bo go pedogra kąsa<sup>47</sup>.

Jak doskonale wykorzystane zostały informacje o Ludwiku XVIII podane przez Antoniego Magiera w *Estetyce miasta stołecznego Warszawy*. Oto one:

W roku 1803 z wiosny zjechał tu Ludwik XVIII pod nazwiskiem comte de Lille. Stanął przy Krakowskim Przedmieściu w domu Wasilewskiego. Widać go nieraz było można stojącego na małym balkonie narożnym, postaci otyłej i często z nogi na nogę przestępując, we fraku z szaraczkowym, kamizelka obszerna biała, spodnie z sierge de gris i kamasze aksamitne, podległy bowiem był bólom podagry<sup>48</sup>.

Po dokładnym przestudiowaniu źródeł z lat 1804–1806 dałby się uzasadnić w ten sposób prawie każdy szczegół zawarty w *Pamiętniku Filipka*.

Doskonała jest, niby obiektywna, charakterystyka dworu tułającego się po Europie króla-wygnańca, za wszelką cenę starającego się utrzymać pozory dawnej wielkości i wyższości ponad to wszystko, co się stało:

Aż dziw ogarnia, ilu już teraz Francuzów w naszym mieście. Chyba ich będzie więcej niż Prusaków. Od czasu, kiedy tu zjechał hrabia de Lille, rozpleniło się francuskie plemię [...]. W domu pana Wasilewskiego mieszka ich chyba z setka razem z hrabią de Lille. Jedni są ministrami, drudzy ekscelencjami, inni znów mają różne tytuły wojskowe, a wszyscy noszą dużo orderów. Tylko prawdziwego wojska nie mają. Niektórzy chodzą po oficersku w butach z palonej skóry i pobrzękują ostrogami<sup>49</sup>.

---

<sup>46</sup> F. Skarbek, *Pamiętnik Seglasy*, Warszawa 1959, s. 100.

<sup>47</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 12–13.

<sup>48</sup> A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, Wrocław 1963

<sup>49</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 11.

Filipek zauważa, że coraz więcej Francuzów odsuwa się od króla, ponieważ ma on coraz mniej pieniędzy i nie ma z czego wypłacać miesięcznych zapomóg. Szykowano na króla zamach, a narzędziem w ręku zamachowców był Coulon – Francuz prowadzący w Warszawie kawiarnię. Nasłano również z Francji szpiega w osobie Gallon-Boyera, który przybył do Warszawy w charakterze kupca, ale:

Wszyscy w Warszawie już wiedzą, że pan Gallon-Boyer nie jest kupiec, tylko z Paryża przyjechał do pilnowania hrabiego de Lille i innych tutejszych Francuzów. Zdaje mi się, że pan Boyer pilnuje też i Prusaków, bo przy spotkaniu są wielce potulni. Najważniejsza w Warszawie persona, prezes Kamery Pruskiej, hrabia Hoym pierwszy się kłania panu Boyer<sup>50</sup>.

Zadziwiająca jest dokładność szczegółów z pobytu króla Francji w Warszawie. Ale nie tylko obchodzą Filipka sprawy króla-wygnança. Nie żałuje miejsca w swoich notatkach towarzystwu spod Blachy, a więc księciu Józefowi i jego wiernym kompanom używającym zabawy, jak: Białopiotrowiczowi, Hebdeńskiemu, Rautensztrauchowi, Pokutyńskiemu, Boleszy, Hulewiczowi, Kickiemu i Dzbańskiemu. Trudno, mówiąc o towarzystwie spod Blachy, ominąć osobę pani Vauban, którą sprowadziła do miasta siostra księcia Józefa, pani Teresa Tyszkiewicz:

Ta [pani Vauban] się za słabowitą podaje, chociaż jest zdrowe babsko. Księżę Józef dla niej z kretesem stracił głowę i zawsze jej z miasta przynosi albo julep różanny przeciw drżeniu serca, albo fiałkowy konfekt dla uśmierzenia chropowatości gardła, albo amarenatę parmeńską dla pobudzenia chuci ku jadłu, albo migdałowy chleb świętego Marcina dla wspomnienia piersi, albo pignokatę z jąderek limbowych dla odpędzenia spazmów<sup>51</sup>.

Panowie z otoczenia księcia pozamawiali sobie jednolite fraki zielone z żółtą podszewką, z czarnym kołnierzykiem i złożonymi guzami, na których wryto konika z napisem „Jabłonna”. Ale na ulicach można spotkać nie tylko kawalerów tak odzianych:

Coraz częściej się spotyka w Warszawie dostojnych panów poubieranych w czarne fraki z kotwicą na mosiężnych guzach. Kotwica to znak nadziei. Sami się przezwali Towarzystwem Przyjaciół. Zbierają się na narady to tu, to tam, i żeby ich nie posadzano, grają w karty [...]. Panowie z Towarzystwa Przyjaciół rozmawiają tylko po polsku, z Pałacem pod Blachą w niezgodzie żyją. Tam znów jest w użyciu mowa francuska. Pan Małachowski i jego przyjaciele ze znakiem kotwicy popierają teatr pana Bogusławskiego, a Blacha popiera francuski teatr pana Fourèze’a na Krakowskim Przedmieściu<sup>52</sup>.

Do Towarzystwa Przyjaciół należą: Mostowski, Małachowski, Krasiński, Łubieński. Chociaż w Warszawie wielka jest moda na francuszczyznę i liczne domy ulegają manierom towarzystwa spod Blachy, nie brak takich domów jak kasztelanowej Połanieckiej, która od czasu zajęcia Warszawy przez Prusaków przestaje wychodzić z domu, przyjmuje tylko gości i rozmawia z nimi o polityce. Nie może ona ścierpieć tych, którzy zarzucili polską mowę i posługują się językiem francuskim.

Te niewinne relacje Filipka pozwalają wyróżnić dwa wyraźne ugrupowania w społeczeństwie lat 1804–1806, a mianowicie towarzystwo spod Blachy z księciem Józefem i przeciwne mu ideologicznie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wraz z domem kasztelanowej Połanieckiej. Kiedy jednak nadchodzi nadzieja na wyzwolenie ojczyzny, od chwili, kiedy zaczęła się wojna:

---

<sup>50</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 41.

<sup>51</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 18.

<sup>52</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 81.

Ludzie pozapominali o urazach i kłótniach. Nawet farmazoni polskiego obrządku, co noszą fraki z kotwicą na guzikach, pogodzili się z farmazonami obrządku francuskiego i wspólnie zamówili uroczystą mszę u Fary za wyzwolenie ojczyzny<sup>53</sup>.

Filipek z racji swego „zawodu” i usposobienia żyje w przyjaźni nie tylko z dwoma swoimi przyjaciółmi, Marcinkiem i Cnotą-Nowickim. Pana Lindego informuje, kto przyjechał do Warszawy, i zanosi do przybywających gości listy od niego:

Na mieście mówią, że pan Linde drukuje u pijarów jakiś traktat uczony, słownik czy coś podobnego. Pono taki długi, że nie wiadomo, czy i w pięciu tomach się zmieści<sup>54</sup>.

To właśnie o tym słowniku zawiadamia gości autor w listach roznoszonych przez Filipka. Pomaga też nasz bohater autorowi słownika gromadzić materiały, wybiera z nim różne stare książki u pana Gecla. Księgarz ten ma wielkie zmartwienie, z którego zwierza się Filipkowi. Otóż Prusacy nadają Żydom nowe familijne nazwiska. „Chrzci” ich pan Amadeusz Hoffmann, urzędnik pruski. Daje on nazwiska bardzo dziwne, a zależy to od jego humoru:

Na czczo, czyli przed obiadem, daje nazwiska poważne i smutne, a po obiedzie weselsze. Czasem nawet za bardzo [...]. Zdarzyło się raz, opowiadał pacholek, że pan Hoffmann dostał nuty od jakiegoś sławnego organisty, poszedł z tymi nutami do kościoła i tam grał na organach. Nazajutrz w biurze dawał same pobożne nazwiska jak: Helfgot, Paniebożedopomóż, Himmelblau, Kadzidło, Bożedrzewko, Bożakrówka, Książkadonabożeństwa i wszystkie takie.

To znów pan Hoffmann pił przez całą noc z pruskim pułkownikiem. Rano kazał sobie lać zimną wodę na głowę, a kiedy przyszedł do biura, niespodziewany animusz go ogarnął. Zaczął więc nadawać wojskowe nazwiska: Festung, Fojer, Pistolet, Szyspulwer, Trommel, Trompeter, Harmata. Więcej nie zdążył, kupcy się rozbiegli<sup>55</sup>.

W końcu i pan Gecel musiał zdecydować się na chrzest, nadał mu pan Hoffmann solne nazwisko, bo mu żona zupę przesoliła.

Księdzu pijarowi Onufremu Kopczyńskiemu Filipek sprząta izbę i przechowuje w niej swoje notatki. Malutkiego człowieczka, księdza Albertrandiego, przeniósł raz na plecach przez błoto, kiedy ten szedł kazać do kościoła klarysek bosych. O innej znanej postaci Filipek pisze:

Bardzo się lubimy z panem Antonim Magierem, który nieraz przechodząc koło kolumny wita mnie i mówi:

- No cóż, Filipku, co tam na świecie słyhać?
- A no różnie słyhać, panie profesorze.
- To pójdz ze mną, pogawędzimy.

I choć to jest wielki uczony, pan Magier gada ze mną o najprostszych rzeczach. Nawet mnie wypytuje, co mówią w bramie przekupki. A kiedy ja o co zapytam, zawsze mi naopowiada dużo ciekawego<sup>56</sup>.

Do tej to Warszawy, rządzonej przez Prusaków, w roku 1804 przychodzą wieści, że Napoleon został cesarzem, a 27 listopada 1806 roku wkraczą wojska francuskie. W społeczeństwie Warszawy budzi się nadzieja na odzyskanie wolności. Nastrój miasta tych lat pozwala pisarzowi czynić jawne aluzje między Warszawą ówczesną a Warszawą lat okupacji. Nastroje wiecznej konspiracji, ciągle działanie

---

<sup>53</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 240–241.

<sup>54</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 36.

<sup>55</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 116–117.

<sup>56</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 83.

na szkodę zaborcy, częste ogłaszanie prorocत्व końca jego rządów sprowadzają na pamięć lata okupacji:

Gadania było więcej niż kiedy indziej, bo właśnie się pokazało w Warszawie nowe proroctwo i krążyło z ręki do ręki. Kto umiał pisać, ten przepisywał i dawał innym do czytania, żeby obeszło całe miasto. Niektóre przekupki ponauczały się na pamięć, bo wiersz jest bardzo piękny i tak się zaczyna:

*Niech nikt nie wątpi o prawdzie tych słow,  
Ktore obiawił Przenayświętszy Duch  
Iedney panience w zakonney sukience,  
Że rychło woyna y że zczezną Niemce.*

Odkąd stoję pod kolumną, dużo już było takich przepowiedni i nie sprawdziła się ani jedna. Ale ludziska wierzą<sup>57</sup>.

Za książkę tę otrzymał Władysław Zambrzycki w roku 1957 nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy. W tym też roku ukazało się drugie wydanie *Pamiętnika Filipka*.

\*\*\*

Zawarłem umowę z „Czytelnikiem” na napisanie książki, która będzie nosić tytuł *Kwatera Bożych Pomyleńców*. Rzecz dzieje się w Warszawie, w czasie Powstania. Nie będzie to jednak książka o Powstaniu, choć jej akcja rozgrywa się na tle Powstania. Bohaterami są czterej starsi panowie, rozprawiający o znikomości tego świata w lokalu wypożyczalni książek na Żurawiej<sup>58</sup>.

A tam [w *Kwaterze*] wszystko, o czym piszę, jest jak najbardziej prawdziwe, autentyczne i zgodne z rzeczywistością<sup>59</sup>.

Oto wypowiedzi autora na temat *Kwaterny Bożych Pomyleńców*. Bohaterowie powieści to – jak autor mówi – czterej starsi panowie scharakteryzowani jeszcze przed rozpoczęciem powieści jakby we słowie wstępnym. I tak: Afrykander to lekarz z zawodu, który studiował w Paryżu, Qudratus – dziennikarz, Tatar (mahometanin) – ukończył politechnikę w Liège, oraz Wincenty – potomek protestantów szwajcarskich.

Ci stateczni panowie spędzają sierpień i wrzesień 1944 roku w pokoju przy wypożyczalni książek. Dla zabicia czasu gawędzą, toczą spory, doznają wzruszeń, usiłują te wzruszenia zataić i bronić się przed otepieniem, często żartują (ludzie starsi też gadają głupstwa, zwłaszcza kiedy są pewni, że ich młodzi nie słyszą)<sup>60</sup>.

O tragicznym sierpniu i wrześniu roku 1944 pisze Zambrzycki zupełnie nową i najdziwniejszą książkę, jaka została na ten temat wydana. Informacji o Powstaniu znajduje się tu niewiele, ale wszystko, co zostało powiedziane, jest prawdą o tych okrutnych dniach Warszawy. Króciutko scharakteryzowany został nastrój tuż przed wybuchem walk:

Do pokoju weszła pani Sokołowska i oznajmiła, że nowych rozstrzeliwań dziś nie było, przynajmniej ludzie nic o tym nie mówią. Na Marszałkowskiej widzi się sporo młodzieńców o wyglądzie sportowym. Chodzą parami. W sklepach jest wyjątkowy ruch. Ludzie wykupują wszystko, co się nadaje do jedzenia<sup>61</sup>.

---

<sup>57</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 78.

<sup>58</sup> J. Styczeń, *Laureaci nagrody miasta stołecznego Warszawy*, „Stolica” 1958, nr 2, s. 8.

<sup>59</sup> K. Kłóś, *W kwaterze dobrotliwego figlarza*, „Słowo Powszechne” 1959, nr 217.

<sup>60</sup> W. Zambrzycki, *Kwatera Bożych Pomyleńców*, Warszawa 1959, s. 6.

<sup>61</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 9.

O samym wybuchu Powstania pani Sokołowska mówi: „Proszę panów, coś się w Warszawie zaczęło”<sup>62</sup>.

Podczas pisania *Kwaterny* na biurku autora leżała przez cały czas wydana w 1957 roku książka Adama Borkiewicza *Powstanie warszawskie. Zarys działań natury wojskowej*. Kiedy Zambrzyckiego zawodziła pamięć, pomagała mu zawarta tam wiedza o Powstaniu, stąd ta wierność w opisie działań w Śródmieściu, na Starówce, na Żoliborzu, Czerniakowie, Mokotowie czy Woli<sup>63</sup>.

Autor do Powstania podchodzi od strony dnia powszedniego, pokazuje zwykłych cywili i ich ogromne poświęcenie dla sprawy. Dużo przeżył autor podczas Powstania, a przybył do Warszawy tuż przed jego wybuchem. Pisze o tym na samym początku powieści:

Qudratus był gościem pana Wincentego. Przyjechał przed kilku dniami z Góry Kalwarii, gdzie pod przybranym nazwiskiem pracował w spółdzielni „Rolnik”<sup>64</sup>.

Na ulicy Żurawiej w wypożyczalni pracowała Lucynka, pilnie prowadziła bibliotekę i pan Wincenty niepokoił się nieraz o nią. Pewnego dnia przyszedł do wypożyczalni wysłany przez Lucynkę harcerz po przechowywane tam paczki z nabojami do pistoletów. Zapytany o Lucynkę odpowiedział z zażenowaniem, że została ona ranna, a stało się to przy ulicy Mazowieckiej 4, gdzie mieścił się szpital. Lucynka wyprowadzała rannych na słońce i wtedy właśnie spadła „krowa”. Zginęło dwunastu żołnierzy, a Lucynka została poparzona, stała bowiem w głębi sieni. Zaczynają się teraz tragiczne wydarzenia dla naszych bohaterów, a wraz z nimi dochodzi do głosu charakterystyczny i specyficzny styl Zambrzyckiego, polegający na tym, że brakiem patosu wywołuje on najsilniejsze wrażenie. „Niechęć do patosu rozciąga się na momenty dramatyczne, potraktowane z epickim spokojem i powagą, które im dają kształt monumentalny”<sup>65</sup>.

Wielkie wrażenie robi przeprawa pana Wincentego podziemnymi przejściami do szpitala, w którym leży Lucynka, chociaż opis pozbawiony jest zupełnie zbędnych słów wywołujących grozę:

Dobrnęli po kwadransie do otworu przebitego w ścianie od Alei Jerozolimskich. Jasne światło zalewało tę część piwnicy. Przy wyjściu stał wojak i kierował ruchem peregrynantów. Był spokojny, odliczał po kilka osób z kolejki i udzielał im rad: „Schylić głowy, na rurach czołgać się, nie marudzić”.

Pan Wincenty, który nigdy w życiu nie miewał takich przygód, był podniecony. Doszedł raptem do wniosku, że trzeba przełożyć czekoladę z lewej kieszeni zewnętrznej do prawej, co natychmiast wykonał... Pan Wincenty, popychany od tyłu przez Quadratusa, biegł prawie na czworakach. Dopadł rur i zaczął przełazić. Za ostatnią rurą zleciał do jakiegoś leja, tak mu się w pierwszej chwili zdawało, był to jednak ten sam wykop, tylko w tym miejscu głębszy [...]. Jeszcze kilka kroków i znów się znaleźli w piwnicy, ale już po tamtej stronie Alei Jerozolimskich. Pan Wincenty, dygocąc z wrażenia, siadł pod ścianą [...]. Wyszli wreszcie na jakiś zawalony gruzem i poskręcaną blachą dziedziniec [...]. Z prawej strony, od Brackiej, jeżeli to była Bracka, ujrzeni wysoką barykadę, a przy niej żołnierzy. Z lewej strony snuły się dymy z pogorzelska i zasłaniały perspektywę. Przed sobą mieli kilka kamienic obłupanych z tynku,

---

<sup>62</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s.12.

<sup>63</sup> Informacja od siostry pisarza.

<sup>64</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 8.

<sup>65</sup> S. Podhorska-Okolów, *Czterej stoicy i powstanie*, „Twórczość” 1960, nr 1, s. 135.

bez szyb, bez szyldów, z kikutami połamanych rynien. Mogła to być ulica Widok, mogła i nie być. Stali bezradni, nie wiedząc, dokąd iść, kogo pytać o drogę<sup>66</sup>.

Doszli wreszcie na podwórze szpitalne i otrzymali od spotkanego lekarza pozwolenie na wizytę u Lucynki. Spotkanie pana Wincentego z Lucynką jest małym arcydziełem artystycznego umiaru, dyskrecji wyrazu i oszczędności słowa. Przytoczę je w całości:

Wincenty dotarł do drzwi od białego pokoju, gdzie się rozstał z uprzejmym przewodnikiem. Stał na progu, nie śmiał wejść.

Na stole szpitalnym leżała Lucynka. Nigdy by jej pan Wincenty nie poznał, gdyż ani jeden szczegół nie przypominał dawnej Lucynki. Widać było czaszkę dokładnie pozbawioną włosów, niby jaki obrazek z książki o frenologii. Całą głowę wraz z twarzą pokrywała warstwa czegoś żółtego. Tak samo zażółcone były ręce, ramiona, nogi, szyja, część piersi. Osłaniało Lucynkę złożone w kilkoro prześcieradło, zwisające z obu stron stołu.

Pan Wincenty skradał się na palcach, przystawał. Wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady i mocno ścisnął w garści. Potem się zląkł, że ją połamie. Potem pomyślał, że Lucynka i tak by nie poznała, bo ma bezwładne ręce.

– Czy pan tu jest?

– Jestem, jestem, Lucynko.

– Jaki pan dobry, że pan przyszedł, ale niech pan na mnie lepiej nie patrzy.

– Mogę nie patrzeć, Lucynko, mogę nie patrzeć. Bardzo cierpisz?

– Nie, teraz już mniej.

Pan Wincenty spojrział ukradkiem na żółtą twarz Lucynki. Zauważył, że oczy ma zamknięte. Na powiekach błyszczała gruba warstwa maści leczniczej.

– Niech pan będzie spokojny, ja widzę.

– Wiem, wiem, mówił mi lekarz. Zaszleściła cynfolia, zaszleścił papier, tabliczka czekolady pękła nagle na kilka kawałków.

– Proszę pana, muszę coś panu wyznać.

– No, no, słucham, Lucynko.

– Przez cały ten czas pan nic nie wiedział, a w wypożyczalni był kolportaż gazetek.

– To dobrze, Lucynko, bardzo dobrze.

– Przynosiłam też inne rzeczy. Nie gniewa się pan na mnie?

– Moje dziecko, szanuję cię za to.

Pan Wincenty spojrział na ręce Lucynki. Końce palców miała spuchnięte, a paznokcie postrzępione, jak gdyby je kto ponacinał żyłką.

– Dostaniesz tabliczkę czekolady, takiej przedwojennej od Fruzińskiego, wiesz? Z rogu Wilczej. Otwórz buzię, to ci włożę kawałek.

Zdawało się panu Wincentemu, że pod żółtą maską Lucynka się uśmiecha.

– Pan zawsze pamiętał o mnie.

– A jak wyzdrowiejesz, to wrócisz do wypożyczalni na Żurawiej.

– Wrócę. Dobra czekolada.

We drzwiach ukazał się lekarz. Dał znak panu Wincentemu, że czas skończyć rozmowę<sup>67</sup>.

Istotnie autor *Kwatery Bożych Pomyleńców* odbył taką podróż przez walczącą Warszawę do szpitala na ulicę Moniuszki, aby odwiedzić oparzoną podczas wybuchu na ulicy Mazowieckiej 4, siostrzenicę Danutę Czapską liczącą wtedy dwadzieścia jeden lat. Przeżycie tego wszystkiego pozwoliło pisarzowi stworzyć tak mistrzowski opis<sup>68</sup>.

---

<sup>66</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 141–143.

<sup>67</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 146–147.

<sup>68</sup> Informacja od siostry pisarza.

Wstrząsająca swoim realizmem i prostotą jest relacja z operacji przeprowadzonej przez Afrykandera. Stworzył ją autor przy pomocy siostry Ireny, pani Ireny Pniewskiej mieszkającej w Warszawie przy ulicy Koszykowej<sup>69</sup>.

Groza Powstania z dnia na dzień narasta, coraz częstsze wybuchy spędzają mieszkańców do piwnic, ciała ginących powstańców grzebie się na ulicach. Coraz bardziej daje się we znaki brak żywności i wody. Ostatnie dni Powstania są z każdą chwilą gorsze. Kasza-pluj, główne pożywienie, staje się niemożliwa do przełknięcia, a spuchnięte dziaśła nie są zdolne do przeżuwania jęczmiennych podplomyków.

W tych ostatnich dniach Powstania ginie Afrykander. I znów mistrzowska w swej zwięzłości i wyrazie relacja o jego śmierci:

Afrykander wyszedł na podwórze. Minęło kilka dalszych minut. Potem usłyszeli suchy trzask i zauważyli jak gdyby błyskawicę. Tatar pomyślał, że Niemcy znów zaczynają rzucać małe pociski z granatnika. Zapewne ustawili go w jednym z okien poczty na Poznańskiej. Potem do pokoju zastukała Ada:

– Proszę panów, w doktora trafiło.

Kiedy wybiegli, podwórze wydawało się puste. Tatar ujrzał naprzód gołębia, zapewne martwego, tuż obok rozsypany jęczmień, a dalej Afrykandera, który leżał skulony na boku.

Przenieśli go do mieszkania i ułożyli na tapczanie. Quadratus pobiegł po lekarza. Nim upłynęło pół godziny, mieli już świadectwo zgonu wypisane pośpiesznie na zwykłej kartce z notatnika<sup>70</sup>.

Ale nie sprawa Powstania jest w powieści najważniejsza, nie ona wysuwa się na czoło. Przyćmiewają ją dyskusje prowadzone przez starszych panów codziennie wieczorem w ich kwaterze. Stanowią one drugą płaszczyznę powieści. Dyskusje te mają swoje uzasadnienie. Jeden z czterech przyjaciół, pan Wincenty, jest chory na serce, a najlepsze lekarstwo na tę dolegliwość to spokój, życie bez zmartwień i kłopotów, wobec czego należy podtrzymywać w kwaterze pogodny nastrój i podczas kolacji nigdy nie poruszać bolesnych tematów.

Opowieści, które konsekwentnie snują wieczorami koledzy zdani na swe towarzystwo, to przedziwne przypadki z życia autora, a tematy poruszane w dyskusjach to sprawy interesujące go i pozwalające pisarzowi przetransponować swoje poglądy na życie i świat. Jest to więc swoisty rodzaj autobiografii. Autor dla urozmaicenia narracji podzielił role pomiędzy czterech starszych panów. Prototypami tych postaci są koledzy autora. I tak: pan Wincenty to kuzyn Zambrzyckiego, u którego autor przebywał podczas Powstania na Wspólnej 31, Hieronim Osuchowski, doktor medycyny. Wysoki, chudy, tak jak charakteryzuje go Zambrzycki w powieści. Tatar z kolei to Aleksander Niwiński mieszkający w Komorowie, a Afrykander to Wacław Filochowski, który ożenił się faktycznie niezbyt fortunnie ze śpiewaczką<sup>71</sup>.

Wspomniałam, że opowiadane przez przyjaciół dziwne to wypadki z życia autora, na przykład dziejące się w Moresnet. W czasie wojny opracował Zambrzycki monografię tego najmniejszego państewka na świecie. Suwerenne do czasów I wojny światowej, leżało na pograniczu belgijsko-niemieckim. Mieszkańców miało około dwóch tysięcy, a powierzchnię tak maleńką, że wynikały z tego groteskowe wprost kłopoty. Gmach parlamentu mieścił się wprawdzie na terenach Moresnetu,

---

<sup>69</sup> Informacja od siostry pisarza.

<sup>70</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 283.

<sup>71</sup> Informacja od siostry pisarza.



ale garaże wynajmowano już w Niemczech. Rękopis tej monografii uległ zniszczeniu w czasie Powstania.

Opowieść o bombie podłożonej pod damską toaletę w parku miejskim w Radomiu w roku 1905 to bezpośrednia przyczyna wyjazdu autora do Belgii.

Zupełnie w stylu Zambrzyckiego jest historia z życiorysem Joachima Biedermeiera. Świetna jest rozmowa o tym figlu literackim między przyjaciółmi:

Tatar: – To nie było szelmstwo, to był jakiś życiorys.

Wincenty: – O, za pozwoleniem, właśnie że było szelmstwo, i jedno z lepszych. Człowieku, czy tego nie rozumiesz? Przecie Biedermeier nigdy się nie urodził.

Tatar: – No to kiedy zdążył nastrugać tyle mebli? Przecie pański stolik do kart jest biedermeierowski, sam pan się chwalił. Zresztą mniejsza o to. Ważniejsze, że Quadratus nie dał mi swojej książki o Biedermeierze, nawet mi nie pokazał, i to mnie boli.

Quadratus: – Bo druk ukończono w ostatnim dniu lipca, kiedy się kąpałeś w Ciechocinku<sup>72</sup>.

Opowieść Afrykandera o jego przygodzie w Samarze, podczas I wojny światowej, o tym, że zmuszono go do przeprowadzenia marszruty dla dzikiego pociągu, którym urlopnicy chcieli dojechać do zachodnich guberni, to również opowiadanie z życia pisarza.

Podobnie jest z przygodami Tatara w Lourdes. Wyjechał tam autor nie z własnej woli, ale aby dotrzymać słowa. Kiedy leżał w szpitalu po wypadku w Pałacu Mostowskich, przyrzekł opiekującej się nim siostrze, że odwiedzi to święte miejsce. Siostra Rajtaria, bo tak w istocie nazywał siostrę Stefanię dzwoniącą wiecznym mnóstwem koronek i medalionów Zambrzycki, wymusiła na nim takie przyrzeczenie<sup>73</sup>.

Nie tylko opowiadaniom o ciekawych wydarzeniach z życia poświęcają gawędziarze czas przy kolacji. Quadratus porusza nurtujące go zagadnienie kwadratury koła, wspólnie zastanawiają się nad dowodami na kulistość ziemi czy też nad ciekawym zjawiskiem fatamorgany. Wraz z narastaniem grozy Powstania, z coraz gorszymi relacjami z wydarzeń w mieście, z coraz bardziej dokuczającym głodem, brakiem światła i wody, wraz z przybywaniem pogorzalców wzrasta powaga gawęd. Mówi się jeszcze o dziwach natury, ale zaczynają pojawiać się takie tematy jak sprawa pochodzenia człowieka, wybuchają spory religijne, a wszystkim towarzyszy refleksja, zaduma.

W tym właśnie miejscu dostrzega się rolę tych gawęd. Jest to nie tylko obrona chorego pana Wincentego przed tragiczną rzeczywistością, ale obrona przed nią wszystkich, którzy biorą w gawędach udział. Afrykander i Tatar, wracając do kwatery po przeróżnych całodziennych przejściach, aby o tym wszystkim nie myśleć, oddają się rozmowie.

Tragiczna rzeczywistość, od której nie stronią w dzień, której chcą zapobiec, ofiarowując wszystkie swoje siły, niezwalczona zmusza ich do takiej właśnie obrony przed samą sobą:

Jak czasu wielkiej zarazy układali opowiadki narratorzy *Dekameronu*, tak czasu powstania warszawskiego, gdy najsilniej chyba wezbrała niszczycielska furia faszystowskiego antyhumanizmu, czterej mądrzy dziwacy warszawscy organizują swoistą samoobronę przeciw nastrojom katastrofy i zagłady<sup>74</sup>.

---

<sup>72</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 77.

<sup>73</sup> Informacja od siostry pisarza.

<sup>74</sup> S. Lichański, *op. cit.*, s. 163.

Toczące się dyskusje religijne między kalwinem panem Wincentym, mahome-  
taninem Tatarem a franciszkaninem Afrykanderem doprowadzają pana Wincentego  
do wniosku, że co innego jest religijność, a co innego przynależność do gminy reli-  
gijnej.

[Zambrzyckiego] religia interesuje przede wszystkim jako fenomen kulturalny, społeczny,  
psychologiczny, a wobec jej metafizyczno-mistycznych założeń i konsekwencji zachowuje on  
stanowisko życzliwej neutralności skłaniającej się nawet do pełnej akceptacji – ale z powodu  
głównie natury estetycznej<sup>75</sup>.

Radości życia i ukochanie ich wywołują pragnienie przedłużenia wędrówki du-  
szy ludzkiej w pośmiertną przyszłość, a pragnienie to jest tak silne, że nakłania do  
wiary, do religii. Quadratus powie:

Kiedy lękliwe myśli cisną się do głowy, zaczynam myśleć o radościach życia, których  
przed śmiercią bym żałował<sup>76</sup>.

Kończy autor powieść apologią bohatera niepozornego, ale zdolnego do wiel-  
kiego bohaterstwa, lekarza Afrykandera, oraz pogodnym przyjęciem końca Powsta-  
nia przez tych, którzy je przetrwali.

\*\*\*

Dwie pierwsze z analizowanych powieści skomponowane są na zasadzie pa-  
miętnika.

Charakterystyczna dla tej formy jest narracja w pierwszej osobie. Narrator wy-  
stępuje jako bezpośredni świadek lub nawet bohater opowiadanych przez siebie  
zdarzeń, jest więc elementem organizującym zdarzenia w jedną całość, nie układają  
się one bowiem w przebieg konsekwentnie powiązany i zmierzający do określonego  
celu, ale przeciwnie – stanowią ciąg luźno ze sobą zespolonych epizodów.

*Naszą Panią Radosną* poprzedza uwaga *W sprawie przypisków*, którą do powie-  
ści dołącza rzekomo pułkownik Bodineau, jeden z uczestników opisywanych przy-  
gód. Prostuje on niektóre szczegóły fabuły i wyraża swoje, nieraz odmienne od au-  
tora pamiętnika, opinie. W powieści tej autor stosuje ciekawy chwyt kompozycyj-  
ny, a mianowicie podróż bohaterów w czasie. Nie jest to u nas nowością, bo spoty-  
kamy się już z tym w *Torpedzie czasu* Antoniego Słonimskiego.

*Pamiętnik Filipka* poprzedza również swoiste słowo wstępne. Z niego dowiadu-  
jemy się, że zamieszczony w powieści pamiętnik jest znaleziony i prawdziwy.  
W kompozycji tej, opartej na tle znalezionej dokumentu, wyraża się jasno dążność  
do zasugerowania autentyzmu utworu, co doskonale udaje się naszemu autorowi.  
Wiele było bowiem głosów zachwytu po ukazaniu się *Pamiętnika Filipka* nad od-  
szukanym dokumentem z minionej epoki. Zabawna jest recenzja Andrzeja Koskow-  
skiego w „Sztandarze Młodych”. Przytoczę jej fragment:

Trudno dziś zgadnąć, należy raczej przypuszczać, że Filipiek po prostu nic nie zamierzał.  
Ot, pisał, bo mu to sprawiało radość i przychodziło łatwo, pisał bez ambicji literackich i bez  
określonego planu. Przypadek zrzucił, że wielki jego rękopis, urywający się w momencie  
wkroczenia wojsk napoleońskich do Warszawy, przechował się do naszych czasów i teraz po

---

<sup>75</sup> S. Lichański, *Optymizm krytyczny i realistyczny*, „Nowe Książki” 1958, nr 3, s. 133.

<sup>76</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 300.

starannym opracowaniu i skróceniu mniej więcej 2/3 został wydany pod tytułem *Pamiętnik Filipka*<sup>77</sup>.

Teoretyk literatury zauważa, że:

Charakterystyczna dla kompozycji tego typu jest dwutorowość utworu, z jednej strony mamy odautorsko podaną informację dotyczącą przytoczonego dokumentu, z drugiej – jego literacko opracowaną treść<sup>78</sup>.

W *Kwaterze Bożych Pomyleńców* stosuje autor bardzo ciekawe przemieszanie powieści szufladkowej z kroniką z Powstania Warszawskiego.

Już sama konstrukcja obu powieści (i *Kwatery* i *Pamiętnika Filipka*) powoduje, że posiadają one charakterystyczny styl. Jest nim doskonały styl gawędziarski, potoczny, gładki, nieco nawiązujący do tradycji gawędy staropolskiej, ale nie tej tłuściej czasów saskich, lecz kunsztownej, renesansowej, Kochanowskiego, Górnickiego, Orzechowskiego. Największym osiągnięciem tego zintelektualizowanego gawędziarstwa jest *Kwaterna Bożych Pomyleńców*.

I tu nasuwa się pokrewieństwo z Anatolem France. To samo igranie z inteligencją, pomysłowość, ten sam sceptycyzm i pobłażliwy uśmiech w podtekście, ta sama bezceremonialność w traktowaniu ustalonych zasad, wreszcie ten sam filozoficzny spokój<sup>79</sup>.

---

<sup>77</sup> A. Koskowski, *Rękopis znaleziony w Warszawie*, „Sztandar Młodych” 1956, nr 293, s. 2.

<sup>78</sup> S. Skwarczyńska, *Wstęp do nauki o literaturze*, Warszawa 1954, t. I, s. 463.

<sup>79</sup> S. Podhorska-Okolów, *Czterej stoicy i powstanie*, „Twórczość” 1960, nr 1, s. 135.

## ROZDZIAŁ III

### *Analiza powieści belgijskich Warsztat pisarski Władysława Zambrzyckiego*

W 1960 roku autor poinformował:

Obecnie siedzę nad powieścią pt. *Kaskada Franchimont*. Będzie to żart literacki, książka raczej wypoczynkowa. Znany czytelnikom pułkownik Bodineau zjawi się w *Kaskadzie* jako bohater kilku epizodów<sup>80</sup>.

To samo powiedziec można o *Mgle nad Skaldą*, powieści wydanej w 1947 roku. Obydwie one opiewają ten sam temat. *Mgłę nad Skaldą* pisał autor przez dwa tygodnie, na zamówienie, i był z niej niezadowolony, nie chciał o niej w ogóle mówić, uważał ją za słabą powieść.

Cnota jest nudna i szara, grzech zaś piękny i zajmujący, dlatego ludzie kochający życie i urodę muszą popadać w konflikty z purytańską moralnością: oto teza książki Zambrzyckiego<sup>81</sup>.

Tezę tę jeszcze lepiej niż w *Mgle nad Skaldą* rozwija autor w *Kaskadzie Franchimont*. Zajmę się więc dokładną analizą tej drugiej.

Akcja *Kaskady* toczy się w Holandii i Belgii, w latach 1930–1932. W tym czasie pan Ksawery i jego uczeń Błażej wojażują po Belgii. Błażej, syn bogatego, warszawskiego hrabiego, sprawia ojcu dużo kłopotów, a kiedy popełnił nie lada figiel, obcinając honorowemu prezesowi korporacji „Vistula” brodę, ojciec zmuszony jest wysłać go za granicę. Wyszukuje dla syna opiekuna, jest nim właśnie pan Ksawery. Mistrz i uczeń przypadają sobie bardzo do gustu.

Zaraz na początku wędrówki spotyka ich dziwny wypadek. Statek „Kujawy”, którym przybywają do portu Vlissingen, nie może się ruszyć z powodu gęstej mgły. Pan Ksawery z Błażejką wybiera się więc do miasta. Ale i dla nich mgła okazuje się zgubną. Po sutej kolacji, błądząc po mieście, docierają pod mur klasztoru janse-nistek, po przekroczeniu którego trafiają na klasztorny kurnik i płoszą ptactwo. Zgiełk zrywa ze snu siostry, które uwięziły gwałcicieli w kurniku. Bohaterowie zmuszeni są opuścić Holandię, jadą do Brukseli, gdzie pan Ksawery zna każdy kąt, jest to bowiem jego studenckie miasto. Ojciec Błażejka po przeczytaniu w gazecie warszawskiej o przygodzie syna i mistrza postanawia nie przysyłać dla przestępców pieniędzy, zaleca im pracę fizyczną, która na pewno dobrze im zrobi. Od tego momentu bohaterowie zdani są wyłącznie na siebie. Chwytają się więc różnych sposobów zarobku, starają się łączyć to z przyjemnościami.

Wszystkie dalsze czyny bohaterów obracają się dokoła pojęcia „zwanze”, o czym mówi sam autor w przedmowie, usiłując je wyjaśnić, ale rzeczywiste wyjaśnienie uzyskać można dopiero po przeczytaniu powieści. Błażejek otrzymuje wzmiankę o tym słowie w jednym z listów pana Ksawerego, który wyjechał do Franchimont, aby zasięgnąć rady pułkownika Bodineau co do swej myśli o jednym ze sposobów zarobku. Pomysł jest prosty i polega na tym, by wróżyć szczęśliwą

---

<sup>80</sup> Nota W. Zambrzyckiego dla Polskiego Radia z 1960 r.

<sup>81</sup> „Przekrój” 1947, nr 116.

przyszłość noworodkom polsko-amerykańskim. Pomysł mistrza zostaje przez pułkownika zaakceptowany.

Już ten pomysł z horoskopami to poniekąd „zwanze” czynione noworodkom. Oto treść jednego z takich horoskopów:

Odpisując na list W.P., śpieszymy zaznaczyć, że opracowanie horoskopu sprawiło nam szczerą radość, albowiem dziecko urodzone 27 stycznia będzie miało wyjątkowe zdolności i może zrobić karierę artystyczną.

W dniu tym przypada paralaksa Neptuna i Wenera, a dzięki wpływowi Merkurego dziecko ma zapewnione powodzenie i dobre zarobki.

Dziecko urodzone 27 stycznia należy starannie pielęgnować, broń Boże nie bić, okazywać dużo przyjaźni. Odwzajemni się za to, kiedy dorośnie. Dzień szczęśliwy sobota, kamień szczęśliwy topaz. W dniu tym urodzili się między innymi: kompozytor *Wesołej wdówki* Lehara, sławny malarz Fragonard, japoński generał Kuraki i pan Zagłoba. Pokażcie ten horoskop Waszym znajomym i krewnym. Niech do nas piszą<sup>82</sup>.

W ogłoszeniu polecającym horoskopy wspomina się tylko, że do koperty można wkładać dolara na koszty przesyłki i manipulacji biurowych. Horoskop darmo.

Terminu „zwanze” używa pan Ksawery przy innej okazji. Otóż, będąc we Franchimont, odwiedza czasem fermę ojca Pirotte, ostatniego wytwórcy kozich serów. „Była to duża posesja przytulona do prostopadłej ściany skalnej. Pośrodku dziedzińca było źródło zasilające wodą niewielką sadzawkę, ujętą w kamienny czworobok”<sup>83</sup>.

Nie miał ojciec Pirotte pociechy z tej wody, źródło bowiem było kwaśne i omijały go nawet kozy. Pewnego dnia ojca Pirotte odwiedził mistrz sam, bo nie zastał pułkownika w domu. Trafił na moment, kiedy zjawiała się delegacja Syndykatu Inicyjatywy Balneologicznej ze Spa. Pan Ksawery, korzystając z chwilowego zamieszania, wrzucił do źródła mieszanek soli mineralnych. Pisząc o tym do Błażejka, zastanawia się, czy też jego postępek okaże się „zwanze”, i obiecuje po przyjeździe wytłumaczyć uczniowi ten termin. Znała go jednak Walentyna, przyjaciółka Błażeja, i już wcześniej wytłumaczyła mu, że postępek w stylu „zwanze” byłby wtedy, gdyby Błażej, siedząc na przykład w teatrze na galerii, rzucił stremowanej śpiewaczce wiązkę kwiatów, a potem więcej się nie odezwał. Ale gdyby załączył bilet wizytowy, to już by nie było „zwanze”. Doszedł więc Błażej do wniosku, że „prawdziwe «zwanze» powinno być bezinteresowne, zatajone i zabawne. Innymi słowy jest to wysublimowany żart, dla większości niezrozumiały, a tak osobisty, że pozostawia radość na całe życie”<sup>84</sup>.

Dużo zdrowia kosztował pana Ksawerego ten żart. Po badaniu źródła gazety narobiły dużo hałasu wokół cennych wód i o kupno tego terenu pokusił się pułkownik Bodineau. Pana Ksawerego dręczyły wyrzuty sumienia, że swoją lekkomyślnością doprowadzi tak zacnego człowieka do ruiny. Pułkownik jednak poświęcił cały wysiłek dla odszukania źródła mineralnego. Wynajął w tym celu różdżkarza, który po kilku seansach ściśle określił miejsce gorącego mineralnego źródła. Niejeden taki czyn miał pan Ksawery na swoim sumieniu.

---

<sup>82</sup> W. Zambrzycki, *Kaskada Franchimont*, Warszawa 1962, s. 39.

<sup>83</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 42.

<sup>84</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 49.

Zorganizował choćby w przemyślny sposób pomoc ulicznemu sprzedawcy zabawek z kieszonkowymi promieniami X, przeświecającymi ciało damskie i męskie oraz wszelkie zatajone sekrety. Mistrz zapytany przez ucznia, dlaczego zapragnął pomóc temu człowiekowi, odpowiedział:

Mam słabość, Błażejku, do ludzi, którzy żyją inaczej, niż im to nakazują gubernatorzy. Nasz wagabunda nie może się zmieścić w narzuconym wzorku. Woli zachrypnąć, sprzedając kartoniki ze skrawkami kogucich piór, niż dostosować się do urzędowego rozkładu życia. Tak się już widać urodził, nie potrafi być inny [...]. Każda stolica ma własny poczet odmieńców, dziwaków, wagabundów, oryginałów i wolnych duchów<sup>85</sup>.

Takimi ludźmi byli również pan Ksawery i jego uczeń, a ta charakterystyka odnosi się w ogóle do bohaterów powieści Zambrzyckiego.

Pan Ksawery, kiedy miał kłopoty ze swoim żartem we Franchimont i na karku rozprawę za kłusownictwo, kiedy dręczyły go wyrzuty sumienia, miał bardzo przykry sen. Szedł sobie samopas nocą na Krakowskim Przedmieściu, aż tu raptem za plecami słyszy jakiś cwał i galop. Ogląda się i widzi, jak z placu Zamkowego wypadają budziki, potwornie wielkie budziki, większe od człowieka:

Nie wiedziałem, dokąd uciekać. Budziki galopują koło hotelu Bristol, nie zatrzymują się, skracają za skwerek, wpadają do Simona i Steckiego, skąd po chwili wybiega Boy-Żeleński, zupełnie zmaltretowany. Boy coś krzyczy, nie mogę zrozumieć. Budziki szarpia go, biją, popychają. Chowam się, Błażejku, za filar „Domu bez kantów”. No cóż, nie jestem bohaterem. Widzę, jak z baru Europejskiego budziki wyprowadzają kogoś przemocą, obalają go na jezdnię i wloką po kamieniach. Poznają, to Witkacy.

Zaczynam się przemykać pod ścianami domów. Wpadam do Lijewskiego i krzyczę: „Odmieńcy, uciekajcie, budziki nas gonia!”. Robi się popłoch. A ja biegnę dalej, alarmuję, wpadam do „Savoyu”, do „Italii”, podrywam ludzi z miejsc.

Tworzymy już sporą grupę. W „Gastronomii” przyłączają się do nas nowi. Biegniemy razem w kierunku Alei Ujazdowskich. Na placu Trzech Krzyży dopada nas szarża potwornych budzików. Kopią mosiężnymi nogami, bodą dzwoneczkami, przewracają, tratują. A my, odmieńcy, nie umiemy się nawet bronić<sup>86</sup>.

W poczet takich odmieńców zaliczyć można nie tylko bohaterów powieści Zambrzyckiego, ale i jego samego, a „zwanze” to uczynki, którym poświęcił całe swoje życie, bo one sprawiały mu największą radość. Walentyna za „zwanze” uznaje również wydaną w Warszawie *Naszą Panią Radosną*, do której pułkownik robił przypisy. Sceptyczny Pawełek mówi:

W moim przekonaniu cała ta pompejańska historia jest ciekawym wybrykiem literackim. Autor po prostu dworuje sobie z czytelników, z całego świata<sup>87</sup>.

A oto zdanie pana Ksawerego o tej książce:

Fantastyczna historia, wprost nie do wiary, a jednak tyle tam logiki, tyle nieznanych szczegółów obyczajowych, historycznych i geograficznych, że tego wszystkiego chyba nikt nie zmyślił<sup>88</sup>.

Nim zaczęły napływać pierwsze zamówienia na horoskopy, nasi bohaterowie musieli znaleźć inny sposób zarobkowania. Pan Ksawery przyniósł Błażejku wieść o cudownym sposobie zarobku, bez rozkładu zajęć, bez dyrektorów, sami so-

---

<sup>85</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 162.

<sup>86</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 205–206.

<sup>87</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 48.

<sup>88</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 32.

bie mieli być panami. Ich praca miała polegać na konwojowaniu barki z pszenicą od holenderskiej granicy, aż do Mons.

Płynęli barką o pięknej nazwie „La Belle Toinette”. Błażej zajmował się koniem, który holował barcę, pan Ksawery miał nadzór nad wszystkim, a Walentyna, którą wezwali tuż przed wyruszeniem w podróż, zajęła się gospodarstwem i aprowizacją. Na barce był bowiem ogródek warzywny dobrze utrzymany, który pod staranną opieką Walentyny dawał duże korzyści. Ta podróż trójki przyjaciół, ich zaskakujące przygody, to jedna kaskada szczęścia, radości, pochwały piękna życia:

Według słowników językowych idylla jest to sielanka, pogodny obrazek z życia, sielankowy poemat pasterski, wiejski lub rybacki, niewinny a prosty, pozbawiony konfliktów.

Zgadza się, taki właśnie poemat idylliczny przeżywali nasi przyjaciele na barce „La Belle Toinette”. Nawet Filomena poczuła się szczęśliwa, gdy Błażej na postoju w Ninove rozsupłał jej ogon. Mogła się teraz opędzać od much<sup>89</sup>.

Aż trudno uwierzyć, że tę pogodną powieść pisał człowiek na rok przed śmiercią, schorowany, od dwudziestu lat nieopuszczający mieszkania. Powrót do kraju, w którym spędził najpiękniejsze lata swej młodości, lata studiów, to panaceum na ostatnie, ciężkie chwile jego życia. Wiernie przedstawił autor wszystkie realia Brukseli i w ogóle opisywanych miejscowości.

Przez cały czas jego pracy nad powieścią krążyły listy między Brukselą a Warszawą. Jeżeli pisarz miał jakieś kłopoty z odtworzeniem szeregów tego miasta, to kierował pytania do pana Kwasięborskiego, który udzielał mu wyczerpujących odpowiedzi. Pytał autor niemal o każdą ulicę, o każdy dom<sup>90</sup>.

Wraca Zambrzycki w *Kaskadzie* wspomnieniami do miejsc, w których przepędził dużo czasu. Mówi o kawiarence przy ulicy Saint Jean, w której zwykle przesiadywał i spotykał tam zakuwającego i obłożonego książkami Juliusza Kadena-Bandrowskiego. U kwiaciarki, która stała tuż przy kawiarni, zakupił – będąc studentem – kwiat mimozy dla pewnej drobnej panienki, Polki z Kalisza. Była nią Maria Dąbrowska, również odbywająca studia w Belgii.

Lekcje dziennikarstwa udzielane przez pana Ksawerego Błażejowi to wykład metody pracy dziennikarskiej samego autora, a sukces Błażejka, studenta archeologii i współredaktora tygodnika „A Quoi Bon”, to wspomnienia pracy przy redagowaniu czasopisma „Estudentina”.

*Kaskada Franchimont* to książka o nieprzemijającej urodzie życia, o pokarmach ziemskich, uciechach powszednich stołów, łoża i zarazem wykład filozofii zmieszanej z kpina, zalecenie pomocy, ale przez dyskretny kawał, żart nie poniżający litością, żadną jałmużną, a po prostu odruch serca mądrego człowieka, który kochał świat<sup>91</sup>.

Dobrze czynić, cieszyć się pięknem życia, nie krępować swobody człowieka rygorami, przepisami, potrafić go zrozumieć i kochać, oto naczelną hasła przetransponowane w tej powieści.

\*\*\*

Dwie ostatnie analizowane powieści mają wyraźne cechy powiastki filozoficznej, nie brak ich również w *Naszej Pani Radosnej*. Wszystkie te powieści charakteryzuje typowa dla powiastki filozoficznej żywość, werwa, błyskotliwość i nieco

---

<sup>89</sup> W. Zambrzycki, *op. cit.*, s. 111.

<sup>90</sup> Informacja od siostry pisarza.

<sup>91</sup> W. Żukrowski, *Kaskada Franchimont*, „Nowa Kultura” 1962, nr 23, s. 2.

szalony beład. Życie odmalowane zostaje w całym swoim bogactwie i różnorodności, a wszystko to zmierza do ukazania, jak bardzo rządzą światem niedorzeczność, szaleństwo i przesąd. Pan Ksawery ciągle obawia się złego fatum, które jego zdaniem czyha na człowieka i niezależnie od niego kieruje losem. W powiastce filozoficznej autor stara się wypowiedzieć swoją filozofię, nad niektórymi faktami zastanawia się, medytuje, ale we wszystkim jest bardzo dużo życia, nie tchnie to wszystko suchością towarzyszącą wywodom filozoficznym.

Bohater tego typu powieści uczestniczy w szeregu zdarzeń, przeżywa różnorodne przygody, ciągle podróżuje, co w konsekwencji prowadzi do tego, że przedstawione wypadki nie układają się w jakiś przebieg ściśle powiązany, ale łączy je przede wszystkim postać bohatera.

[Zambrzycki] odnowił starą formę romansu włóczęgowsko-łotrowskiego, kojarząc go z baśnią poetycką i przypowieścią filozoficzną. Te różnorodne elementy zintegrowały się pod jego piórem w nową harmonijną, organiczną całość. Wykryształowała się odmiana powieści przypominająca nieco osiemnastowieczną powieść poetycką, stary romans łotrowski, ale i poetycko-filozoficzną przypowieść Shawa oraz Chestertona. Te analogie można by jeszcze mnożyć, wskazując np. na tradycje starożytnego eposu heroikomicznego czy komedii rybałtowskiej, ale nie ma chyba celu, gdyż Zambrzycki nie był odnawiającym stare rodzaje stylizatorem, lecz twórcą samodzielnym i oryginalnym, którego droga krzyżowała się po prostu lub biegła chwilami równoległe z drogą tego lub owego artysty wcześniejszych czasów. Jeśli na analogie te warto zwrócić uwagę, to jedynie dlatego, że świadczą one o rozległości kultury literackiej autora *Naszej Pani Radosnej*. To nie był ożywiony dobrymi chęciami dyletant, ale artysta świadomy tajników kunsztu pisarskiego i działający w oparciu o bogaty zasób głęboko przyswojonej tradycji literackiej i filozoficznej<sup>92</sup>.

Bardzo często Zambrzycki spotykał się ze zdaniem, że po książkach jego widać, iż pisanie nie sprawia mu większego kłopotu. Stefan Lichański – którego nawiasem mówiąc, autor *Naszej Pani Radosnej* bardzo cenił, uważał jego recenzje za trafne i dowodzące, że jest przez ich autora rozumiany – pisze: „Po książkach tych widać, że [autor] nie wysiadywał ich w pocie czoła za biurkiem”<sup>93</sup>. To i podobne temu sądy prostuje pisarz w sposób następujący:

Podobno moje książki nie męczą i dają dużo radości. Toteż wiele osób usiłuje we mnie wmówić, że piszę bez wysiłku, że mam tak zwaną lekkość pióra. Chciałbym to sprostować, gdyż naprawdę wszystko jest inaczej.

Pisanie sprawia mi duże trudności i szybko mnie wyczerpuje. Zasiadając do maszyny, zawsze mam tremę. Kartka mojego maszynopisu wygląda jak jeden wielki kleks. Są na niej poprawki robione ołówkiem i piórem, skreślenia ręczne, ustępy zaiksowane.

Dla własnej wygody dodaję na marginesach wstawki, odnośniki, rysuję strzałki i kółka. A potem gubię się w tym chaosie i sam siebie nie mogę odczytać. Mnę wówczas papier, rzucam do kosza, zakładam nowy arkusz i staram się napisać lepiej niż poprzednio.

Bywają dni, zwłaszcza kiedy pracuję nad czymś, co będzie «lekkie» w czytaniu, że uda mi się napisać zaledwie pół kartki, a bywa i tak, że zmarnuję ranek albo wieczór i nic nie napiszę. Czasem staję i nie wiem, co robić, bo mi bruździ jakaś sylaba, psuje rytm prozy, niweczy jej gładkość. Wyzbywam się owej sylaby, przerabiam całość i stwierdzam, że teraz dla odmiany zabrakło w zdaniu jednej zgłoski i znów jest źle. Piszę więc jeszcze raz to samo, póki nie utrafię<sup>94</sup>.

---

<sup>92</sup> S. Lichański, *Na śmierć Diogenesa*, „Więź” 1962, nr 6, s. 132.

<sup>93</sup> S. Lichański, *op. cit.*, s. 134.

<sup>94</sup> Nota W. Zambrzyckiego dla Polskiego Radia.



Widziałam, będąc u siostry pisarza, pani Wandy Czapskiej, pierwszą redakcję *Fircyka w zalotach*. Istotnie – strony wyglądają jak jeden wielki kleks. Maszynopis gubi się w dopiskach robionych atramentem i ołówkiem, strzałkach, iksach i przeróżnych znakach.

## BIBLIOGRAFIA

- Askenazy Szymon, *Księżę Józef Poniatowski*, Warszawa 1922
- Baczyński Stanisław, *Recenzje i sprawozdania. Proza powieściowa*, „Polonistyka” 1932, z. III, s. 104
- Błauta Sławomir, *Wodzirej dobrej zabawy*, „Tygodnik Powszechny” 1962, nr 28, s. 5
- Borkiewicz Adam, *Powstanie Warszawskie. Zarys działań natury wojskowej*, Warszawa 1957
- Budrewicz Olgierd, *Zwanze*, „Przegląd Kulturalny” 1962, nr 24, s. 2
- Czachowski Kazimierz, *Pogodna powieść o Pompei*, „Czas” 1931, nr 287
- Czekalski Eustachy, *Kwatera Bożych Pomyleńców*, „Orka” 1960, nr 1, s. 5
- Danek Wincenty, *O małżeństwie powieści z historią*, Kraków 1964
- Dolecki Zbigniew, *Pisarz, który kochał życie*, „Kierunki” 1962, nr 20, s. 6
- France Anatol, *Zbrodnia Sylwestra Bonnard*, Warszawa 1956
- Gostkowski Rajmund, *Pompeje*, Lublin 1956
- Hubert Henryk, *Filipek bardzo warszawski*, „Trybuna Ludu” 1958, nr 4, s. 6
- Iwaszkiewicz Jarosław, *Uroczą książeczką*, „Życie Warszawy” 1956, nr 216, s. 4
- Kraushar Aleksander, *Bourboni na wygnaniu w Mitawie i w Warszawie. Szkice historyczne (1798–1805)*, Warszawa 1899
- Kijowski Andrzej, *Powieść, opowiadanie*, „Rocznik Literacki” 1956, nr 2, s. 61
- Koskowski Andrzej, *Rękopis znaleziony w Warszawie*, „Sztandar Młodych” 1956, nr 293, s. 2
- Kłóś Kazimierz, *W kwaterze dobrotliwego figlarza*, „Słowo Powszechne” 1959, nr 217
- Krzczkowski Henryk, *Książki na wakacje*, „Express Wieczorny” 1958, nr 170, s. 3
- Lichański Stefan, *Trzeba rozprzestrzeniać radość*, „Orka” 1958, nr 5, s. 5
- Lichański Stefan, *Optymizm krytyczny i realistyczny*, „Nowe Książki” 1958, nr 3, s. 132–134
- Lichański Stefan, *Na śmierć Diogenesa*, „Więź” 1962, nr 6, s. 163–167
- Lipski Jan, *O key!*, „Nowa Kultura” 1958, nr 8, s. 2
- Mieses Mateusz, *Hellenizm a judaizm. Uwagi na marginesie książki T. Zielińskiego pod powyższym tytułem*, Przemyśl 1928
- Magier Antoni, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, Wrocław 1963
- Paukzta Eugeniusz, *Kiermaszowa okazja*, „Głos Wielkopolski” 1962, nr 113, s. 7
- Pianko Gabriela, *Antyk w literaturze*, „Wiedza i Życie” 1959, nr 4, s. 230
- Piwiński Leon, *Powieści i nowele*, „Wiadomości Literackie” 1932, nr 11, s. 4
- Podhorska-Okołów Stefania, *Od starożytnej Pompei do Warszawy pruskiej*, „Twórczość” 1957, nr 1, s. 118–120
- Podhorska-Okołów Stefania, *Czterej stoicy i powstanie*, „Twórczość” 1960, nr 1, s. 134–135
- S.P., *O Władysławie Zambrzyckim*, „Twórczość” 1962, nr 7, s. 164–165
- Sadzewicz Marek, *Historia niektórych kłamstw*, „Stolica” 1960, nr 1, s. 15

Sequens, *Kto chce niech wierzy*, „Nowiny Literackie” 1948, nr 30, s. 7  
Sinko Tadeusz, *Hellada i Roma w Polsce. Przegląd utworów na tematy klasyczne w literaturze polskiej ostatniego stulecia*, Lwów 1935  
Skarbek Fryderyk, *Pamiętnik Seglasy*, Warszawa 1959  
Skwarczyńska Stefania, *Wstęp do nauki o literaturze*, Warszawa 1954, t. I  
Słonimski Antoni, *Torpeda czasu*, Warszawa 1924  
Sowińska Beata, *Książeczka i sztuka teatralna Wł. Zambrzyckiego*, „Kurier Polski” 1959, nr 294, s. 4  
Styczeń Jan, *Nowe książki o Warszawie*, „Stolica” 1959, nr 44, s. 11  
Styczeń Jan, *Laureaci nagrody miasta stołecznego Warszawy*, „Stolica” 1958, nr 2, s. 8  
Styczeń Jan, *Godzina z autorem „Pamiętnika Filipka”*, „Poradnik Bibliotekarza” 1958, nr 4, s. 98–100  
Ślaski Jerzy, *Polonika na Węgrzech*, „Twórczość” 1962, nr 9, s. 135  
Szczęśniak Władysław, *Okiem warszawskiego gawrosza*, „Głos Pracy” 1956, nr 205, s. 4  
Szperacz, *Boży pomyleńcy*, „Wiadomości”, Londyn 11 X 1959  
Wojewódzki Michał, *Laureat nagrody literackiej miasta Warszawy pisze nową książkę pt. „Kwatera Bożych Pomyleńców”*, „Express Wieczorny” 1958, nr 10, s. 5  
Zieliński Tadeusz, *Rzym i jego religia*, Zamość 1920  
Zieliński Tadeusz, *Hellenizm a judaizm*, Warszawa 1927  
Żukrowski Wojciech, *Kaskada Franchimont*, „Nowa Kultura” 1962, nr 23, s. 2

\*\*\*

Zambrzycki Władysław, *Większa z kropelkami. Humoreski*, Warszawa 1929  
Zambrzycki Władysław, *Nasza Pani Radosna, czyli dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau*, Warszawa 1959  
Zambrzycki Władysław, *Mgła nad Skaldą*, Katowice 1947  
Zambrzycki Władysław, *Pamiętnik Filipka*, Warszawa 1956  
Zambrzycki Władysław, *Kwatera Bożych Pomyleńców*, Warszawa 1959  
Zambrzycki Władysław, *Kaskada Franchimont*, Warszawa 1962

\*\*\*

Zambrzycki Władysław: „Express Poranny” 1930–1936  
Zambrzycki Władysław: „Express Wieczorny” 1945–1957  
Zambrzycki Władysław: „Naokoło Świata” 1929  
Zambrzycki Władysław: „Tygodnik Polski” 1960